

Nasz stopień poparcia dla rządu → 25 %

Tygodnik KPN

Nr 3

25 marca 1990 r.

Cena 1200 zł

Opinie

Nr indeksu 368032

Polska Racja Stanu

Litwa ogłosiła suwerenność i wzywa, aby armia radziecka opuściła jej terytorium. Węgry ustaliły terminarz wycofania wojsk ZSRR. Czechosłowację pierwsze oddziały sowieckie już opuściły. Wszędzie bankruci komunistyczni odsuwani są od władzy, nie którzy zostali pociągnięci do odpowiedzialności karnej.

Polska pozostała z tyłu. Zmiany polityczne w naszym kraju zostały zahamowane, parlament i rząd kurczowo trzymają się starego kontraktu politycznego, sprzecznego z konstytucją i narzuconego społeczeństwu. Głósi się – i realizuje w praktyce – przedziwne koncepcje, w tym zdumiewającą tezę, jakoby obecność wojsk radzieckich w Polsce służyła naszym interesom, a nawet była konieczna dla naszego bezpieczeństwa (!) Propaguje się – i stosuje taktykę wyczekiwania (czy też przeczekiwania), ale na co? Marnuje się bezcenny czas. Raz po raz zachowanie się najwyższych władz budzi obawę, że Polska sama pragnie utrzymać dotychczasowe więzy satelickiego zniewolenia.

Mówi się, że realizm polityczny i racja stanu tego wymaga. Powtarza się więc te same słowa, które totalitarna władza tyle razy mówiła Polakom w ciągu minionych lat, tylko że powoływano się nie na rzeczywistość polską rację stanu, lecz rację stanu tych, którzy Polskę uciemieżyli.

Dziś trzeba bardzo wyraźnie określić czego wymaga i jaka rzeczywistość jest polska racja stanu.

Polska racja stanu wymaga, aby w interesie Rzeczypospolitej została maksymalnie wykorzystana obecna sprzyjająca sytuacja międzynarodowa i wewnętrzna, w jakiej się znajdujemy. Kryzys państwowy, jaki przeżywa ZSRR, powodując bezsilność dotychczasowego hegemonu, zapewnia nam bezpieczeństwo zewnętrzne. Rozpad praktycznie wszystkich struktur zniewolenia Polski, w tym likwidacja PZPR i wewnętrzne załamanie się aparatu przemocy zapewniają nam bezpieczeństwo wewnętrzne. W takich warunkach nie wolno nam

(Dokończenie na str. 23)

W numerze!

- I. Durlik o pozostałościach komunizmu w gospodarce
- A. Firlej o nowej granicy z ZSRR
- Lepiej być silnym uważa Klaus Bachman
- B. Urbankowski tworzy biuro turystyczne dla komuny

WŁADZA MUSI POCHODZIĆ
Z WOLI NARODU
KPN
JARUZELSKI ON
MUSI ODEJŚĆ!

W najbliższych numerach:
Z. Romaszewski opowiada o „Solidarności” i sandini-
stach

- J. Milewski ubolewa po pogrzebie lewicy
- B. Urbankowski przewidyje sprusaczenie RFN
- K. Kreutzinger bawi dykteryjkami o Wietnamie

POPZYJ KPN!

WPLAĆ NA FUNDUSZ WYBORCZY

konto złotówkowe:

Konfederacja Polski Niepodległej
Bank PKO SA II/O W-wa
5.01031-21003048-139-79-1110

konto dewizowe:

Konfederacja Polski Niepodległej
Bank PKO SA II/O W-wa
5.01031-21003048-157-81-7870

wpłaty:

M. Polcik (Kraków) — 10 tys. zł.
Przyjaciel KPN — 500 USD (na
biuro)

POPZYJ NASZ TYGODNIKI

Grupa czytelników zapropono-
wała nam utworzenie funduszu
wspierającego nasze pismo. Dzięk-
ujemy za tak wielce przyjazną
inicjatywę. Pozwala nam ona
rzeczy, że przy pomocy przyjaciół
— nasze pismo obroni pluralizm
polityczny przed groźącymi mu
monopolami i totalitaryzmem.

Wpłaty prosimy przekazywać
na adres, z dopiskiem: „Fundusz
Przyjaciół „OPINIA”.

Kolejni ofiarodawcy:

Andrzej Kościak (Lublin) — 30
tys. zł.

Zmieszaniek z Torunia — 1 mi-
lion złotych

Bogdan Myc (Warszawa) — 10
tys. zł.

Etienne de Villemarest (prezes
C.I.R.P.O. — Francja) — 5 tys.
FF

Bardzo dziękujemy.

Tygodnik Konfederacji Polski Niepo-
dległej „OPINIA”. Redaguje zespół
Redaktor Naczelny Krzysztof Król
Adres: 00-820 Warszawa, ul. Nowy
Świat 18/20. Redakcja zastrzega sobie
prawo skracania tekstów. Materiałów
nie zamówionych nie zwracamy.

Warunki prenumeraty:

KRAJ: Prenumeratę prosimy zama-
wiać na przekazach pocztowych z
wpłatą i dokładnym adresem zama-
wiającego. Koszty przesyłki pocztowej
pokrywa prenumeratorka. Cena prenume-
raty uzależniona jest od aktualnej ce-
ny pisma i kosztów przesyłki. Tygod-
nik będzie wysyłany na wskazany ad-
res do momentu wyczerpania wpłaco-
nych pieniędzy. O potrzebie przedłu-
żenia prenumeraty zamawiający bę-
dzie zawiadamiany. (Obecna cena prze-
słania 1 egz. pisma 1200 + 400 zł).

EUROPA ZACH., AMERYKA PŁN.,
PŁD., AFRYKA, AUSTRALIA: 1 egz-
emplarz wraz z przesyłką lotniczą —
2 dol. USA, prenumerata roczna —
100 dol. USA, prenumerata półroczna
— 50 dol. USA.

POZOSTAŁE KRAJE: Prosimy o wste-
pne skontaktowanie się z administra-
cją tygodnika.

Ogłoszenia:

KRAJ: 3 tys. zł za cm kw. (ostatnia
strona 10 tys. zł za cm kw.), ogłosze-
nia drobne: 1000 zł za słowo.

ZAGRANICĄ: 3 dol. USA za cm kw.
(ostatnia strona — 15 dol. USA za cm
kw.).

WYDAWCY: PREZYDIUM RADY PO-
LITYCZNEJ KPN.

DRUK: Drukarnia Prasowa ZWP Zie-
lona Góra, ul. Reja 5. N 21

Wolna Litwa

Krótsza granica z ZSRR

Proklamowanie niepodle-
głości przez Litwę jest
wielkim faktem history-
cznym. Wraz z całą Polską na-
leży radośnie witać dzień po-
nownej proklamacji wolności
sąsiedniego narodu. Siedemdziesiąt
lat temu, w historycznym roku 1918
zarówno Litwa jak i Polska mogły stwo-
rzyć własne niepodległe pań-
stwa. Dwadzieścia parę lat pó-
źniej, w latach 1939 i 1940 ko-
lejno swą wolność utraciły.

Litwinów i Polaków na zaw-
sze złączyła geografia i histo-
ria. We wspólnie — przeszłości
mieliśmy czyny chwalebne, ale
mieliśmy też bolesne nieporo-
zumienia. Dziś otwiera się no-
wy rozdział historii. Nie za-
braknie w nim problemów i
kłopotów, w tym kwestii zwią-
zanych z bytowaniem Litwinów
w granicach państwa pol-
skiego i Polaków na Litwie,
choć przyszłość rysuje się opty-
mistycznie. Ani Polska, ani Lit-
wa nie są już otoczone jedynie

państwem radzieckim, bądź
jego satelitami. Dla Polaków
skrócenie granicy ze Związ-
kiem Radzieckim ma wielkie
znaczenie polityczne i symbo-
liczne. Wierzyć wypada, że
granica Polski z ZSRR nieba-
wem skurczy się do zera, a
na wschodzie naszymi sąsiadami
będą wolne państwa Litwy,
Białorusi i Ukrainy.

KPN witając ze szczera ra-
dością odzyskanie niepodległo-
ści przez Litwę stwierdza jed-
nakże, że same deklaracje uc-
zczyć nie mogą wystarczyć. Po-
winniśmy przecież wesprzeć
Litwę w niełatwym pierwszym
okresie odzyskiwania wolności.
Należy zatem zaapelować do
ogółu Polaków, do partii i stron-
nictw — aby w ramach swoich
możliwości i specyfiki działa-
nia podjęli wysiłki wspomagają-
ce Litwinów.

Szczególnym żądaniem po-
winnoby obciążyć się także rząd
premiera Mazowieckiego. Zda-

nem Rady Politycznej KPN
— politycznym, ale i moral-
nym wymogiem tego rządu po-
winno być jak najrychlejsze
uznanie Republiki Litewskiej
de iure, w zgodzie z wszelkimi
prawami międzynarodowymi.
Ponadto, rząd winien nawią-
zać z Litwą stosunki dyploma-
tyczne na szczeblu ambasado-
rów oraz uznać całkowicie in-
tegralność terytorialną Repu-
bliki Litewskiej w jej obec-
nych granicach. Konieczne by-
łoby również, aby Polska pod-
jęła jak najszybciej rozmowy
międzypaństwowe, mające na
celu wzajemne gwarantowanie
wszystkich praw Litwinów w
Polsce i Polaków na Litwie, a
także inne działania uniemożli-
wiające powstawanie konfliktów
na tle etnicznym. Wręcz
nie powinniśmy udzielić Litwie
wszelkiej możliwej pomocy, w
tym dyplomatycznej, gospodar-
czej i w ułatwieniu tranzytu
— jeśli będą zachodziły takie
potrzeby.

Przyjazne, braterskie stosun-
ki z Litwą budować musimy
faktami. Trzeba, aby tych fak-
tów było możliwie jak najszyciej
dostatecznie wiele.

A.F.

Redakcja „Opinia” zwróci-
ła się telefonicznie do
MSZ z pytaniem, czy
rząd polski przedsięwziął jak-
iegokolwiek kroki w celu nawią-
zania stosunków dyplomatycz-
nych z Litwą. Zdziwiony głos
w słuchawce zapytał: „Z kim?
Stosunki dyplomatyczne, pro-
szę pana, to my mamy ze
Związkiem Radzieckim”.
Polska mogła jako pierwszy
kraj — dodać: kraj sąsiedzki —
podjąć kontakty dyploma-
tyczne z niezależnym pań-
stwem litewskim, tym samym

Głuchy telefon

być może przelamując opory
i niechęć jakie wielu Litwinów
żywi wobec nas. Ta szansa za-
stała jednak zmarnowana.

Można oczywiście powiedzieć,
że rząd polski z rozsądku (mam
nadziej, że nie ze strachu)

przyłączył się do zmywu milcze-
nia, jakie zapanowało w świecie
wokół decyzji litewskiego
parlamentu. Niemniej polityka
przypomina czasami grę w sza-
chy — kto ryzykuje, może oczy-
wiście przegrać; kto jednak ry-
zykować nie chce, nie może
również wygrać.

Ostatecznie ktoś będzie tym
pierwszym, który ryzyko pod-
ejmie. Znowu jednak nie bę-
dzie to Polska?

MAREK HELMAN

Kto, komu, ile

Anachroniczny i brodaty
Karol Marks sądził, że
ekonomia decyduje o
wszystkim i że wszystko jest
w istocie ekonomią: polityka,
religia, nawet miłość. Twórcze
stosowanie marksizmu w poli-
tyce zaprezentował ostatnio
tow. Gorbaczow, który wyli-
czył, ile kosztuje wolność Lit-
wy. Otóż: za rozwód z Rosją,
może tytułem alimentów, Lit-
wa ma bulić porzuconej pot-
wicy 21 miliardów rubli.

Osobiście nie wiem, dlicze-
go sumę tę dostać ma Rosja,
a nie np. Kościół, dzięki któ-
rego wstawiennictwu P. Bóg
pokonał Rosję komunizmem,
komunizm pierestrojką, pier-
estrojką Gorbaczowem.

Skoro jednak sam tow. Gor-
baczow uważa, że nieudane mał-

żeństwo należy zamienić na
płatne miłosne usługi — nie
wypada nam nie potraktować
tego serio. Przyjmując propo-
zycję Gorbaczowa za punkt
wyjścia, pójdźmy więc o krok
dalej i spróbujmy odpowied-
zieć na pytanie, ile za lata
nieudanego małżeństwa powin-
na zapłacić Litwie Rosja.

Przed wszystkim za straty
ekonomiczne: kosztą zmniejsze-
nia rolnictwa metodą kolektyw-
wizacji, kosztą rabunkowej go-
spodarki, kosztą z tytułu ko-
rzystania z portów w Kłajpedzie
i Połdze oraz z tranzytu
kolejowego i samochodowego
— wszystko to obliczam ryczał-
tem na 221 miliardów, 343 mi-
liony, 286 tysięcy rubli i 78
kopiejek. Zapewniam, że cyfry
te nie są bardziej wymyślone,

niż cyfry podane przez tow.
Gorbaczowa. Są także koszta
niewymierne. Ktoś powinien
zapłacić rachunek za morder-
stwa i deportacje towarzyszą-
ce wprowadzeniu sowiezizmu
na Litwę, ktoś powinien wy-
równać rachunki za doprowa-
dzenie ludności litewskiej do
nędzy, za lata cierpień, za nie-
wykorzystane możliwości kul-
turalne i ekonomiczne. O tym
wszystkim jednak nie można pi-
sać lekkim tonem felietonu.
Zresztą nie trzeba. Bęz wzglę-
du na to, ile rachunki te by-
wytroszyły — bilans już teraz
jest jasny. Na dzień 5 marca
1990 roku Republice Litewskiej
należy się od Sowietów dokład-
nie: 200 miliardów 343 miliony
286 tysięcy rubli. Resztę moż-
na im podarować. Niech prze-
znaczają ją na naukę matematyki
dla Gorbaczowa. Marksizm
już zna.

BUR

Z Profesorem IRENEUSZEM DURLIKIEM Dyrektorem Instytutu Organizacji Politechniki Gdańskiej, praktykiem gospodarczym, autorem artykułu „Gospodarcza godzina 0” (opublikowanym w 15 numerze tygodnika „Solidarność” w roku ubiegłym) rozmawia Eugeniusz Wąsik.

● Jaki jest stan naszej gospodarki — każdy widzi. Spadek produkcji o wiele większy niż planowano, zadłużenie wzrasta w tempie zaskakującym, inflacja — w styczniu, lutym i marcu — wyższa niż przewidywano. Czym nam to grozi?

— Spodziewaliśmy się od początku, że wicepremier Balcerowicz stworzy je dynie program fragmentaryczny i to się potwierdziło. W istocie tzw. „program Balcerowicza” nie jest programem rozwoju gospodarczego kraju, lecz koncepcją mającą usatysfakcjonować, głównie, Międzynarodowy Fundusz Walutowy (MFW); jego zarząd.

Stabilizacja waluty jest bowiem tylko fragmentem działań ekonomicznych. Można zresztą walutę stabilizować na poziomie Bangladeszu i na poziomie RFN. W obu przypadkach spełniamy wymogi MFW. Przecież pożyczek nie udziela się w celu przyjsia z pomocą charytatywną Polsce. Wierzyciel musi mieć zagwarantowaną ochronę własnych pieniędzy i zysk wyższy, niż mógłby osiągnąć, gdyby kapitał zalegał na koncie bankowym.

● A fundusz stabilizacyjny?

— To, co powiedziałem, dotyczy także funduszu stabilizacyjnego. Zarząd MFW nie jest zainteresowany na tyle rozwojem polskiej ekonomiki, aby udzielić tak wysokiej darowizny. Międzynarodowy Fundusz Walutowy nie przejmie się także najbardziej nawet radykalnym obniżeniem poziomu życia w naszym kraju.

To może brzmieć brutalnie, ale w gospodarowaniu nie ma sentymentów. Tymczasem w Polsce struktury własnościowe zostały całkowicie zdemolowane. Mówiąc dosadnie — gospodarka jest nadal skomunizowana; aczkolwiek władza polityczna należy do „Solidarności”.

● Które z elementów naszej ekonomiki — powodujących to właśnie skomunizowanie — należałoby radykalnie odrzucić?

— O systemie gospodarczym świadczą — moim zdaniem — 9 elementów; o czym za chwilę. Po ich rozpatrzeniu dojdziemy do wniosku, że gospodarka w naszym kraju ma nadal charakter gospodarki komunistycznej.

A oto te elementy:



— KAPITAŁ. W systemie komunistycznym w całości pochodzi od państwa i z opodatkowania produkcji;

— RYZYKO i STRATY. W gospodarce komunistycznej państwo ponosi całkowite koszty ryzyka i strat, rozkładając ich wartość na barki obywateli poprzez zwiększanie podatków i cen;

Dziewięć mitów obowiązujących nadal w naszej gospodarce

— WŁASNOŚĆ. Państwo jest jedynym właścicielem środków produkcji, gdyż — de facto — skarb państwa legitymuje się tytułem własności około 90 proc. przedsiębiorstw przemysłowych. To jest moja ocena Zdaniem prof. J. Beksiaka liczba ta waha się w granicach 83—88 proc. i zależy od wyceny majątku. A wycena też pozostaje w gestii państwa;

— ZATRUDNIENIE. Państwo dyktuje i kontroluje jednocześnie wszystkie obszary zatrudnienia, pozostając zarazem jedynym pracodawcą. Pracownicy w komunizmie mają niewielki margines możliwości wyboru miejsca i charakteru pracy;

— MECHANIZMY MOTYWACYJNE. Nadal obowiązują standardy zapłaty za pracę. Nadal obowiązują siatki płac. Dzieje się tak w przemyśle państwowym i w całej — ogromnej — sferze budżetowej;

— KONKURENCJA. Z całego układu skomunizowanej gospodarki wyrwaliśmy pojęcie konkurencji i ogłosiliśmy, iż zakłady państwowe mają ze sobą konkurować...

... że będą ze sobą konkurowały przedsiębiorstwa państwowe, dla których organem założycielskim jest ten sam minister.

— Nawet jeżeli jakiś zakład ogłosi upadłość będzie to przecież bankructwo „na koszt całego społeczeństwa, bo wiem społeczeństwo ponosi koszty ryzyka i strat;

— WYROBY I USŁUGI. W gospodarce komunistycznej sterowanie odbywa

się całkowicie poprzez politykę ekonomiczną państwa. W naszym przypadku aktualnie uchylono się od tego obowiązku i obwieszczono z pozoru liberalne hasło: „Niech rynek konkuruje”. Nie stworzono jednak rynku kapitałowego, nie stworzono rynku własnościowego, nie stworzono rynku pracy. I w takich warunkach kazano konkurować;

— MOŻLIWOŚĆ WYBORU KONSUMPCJI. Nadal jest bardzo ograniczona i nadal egzystuje podobnie jak w systemie komunistycznym. A jest ograniczana z powodu fatalnego zaopatrzenia, pozostającego — w głównej mierze — w rękach państwa. Popularna ostatnio

sprzedaż z samochodów jest atropą gospodarczą i potwierdza wyżej sformułowaną tezę;

— WYMIENIALNOŚĆ WALUTY. Wprowadzono quasi wymienialność waluty. Powstała hybryda nie przystająca ani do systemu komunistycznego, ani do systemu kapitalistycznego.

Reasumując można powiedzieć, że z całości systemu skomunizowanej gospodarki wyrwano kilka elementów tworzących pozory gospodarki rynkowej. Najważniejszym mankamentem tej kompozycji jest — szeroko pojmowana — sfera usług. W dalszym ciągu na tym obszarze gospodarka rynkowa jeszcze nie egzystuje, a wszelkie usługi są „budżetowane”.

● Wszystkiego od razu zrobić się nie da. Które z elementów — wymienionych przez Pana Profesora — należałoby usunąć w pierwszej kolejności?

— Przede wszystkim trzeba się zdecydować na określony model gospodarczy. Musimy ustalić dokąd zmierzamy. Bynajmniej nie idzie mi o szczegółowe rozwiązania, lecz o ogólny charakter do celowego systemu. Czy to ma być socjaldemokratyczny model gospodarczy podobny do praktykowanego w niektórych krajach Europy Zachodniej; czy to ma być model kapitalizmu amerykańskiego; czy też zmierzamy w kierunku kapitalizmu w wersji japońskiej, a nawet południowokoreańskiej.

● Za jakim modelem optuje Pan profesor?

— Mów — jak to się niekiedy mówi — ambiwalentne zdanie. Kapitalizm amerykański dawałby bardzo szybko pozytywne rezultaty gospodarcze. Jest to wprawdzie system bardzo brutalny, ale funkcjonuje niezwykle skutecznie.

Model preferowany przez socjaldemokratów zachodnioeuropejskich owocuje powolniejszymi, łagodniejszymi zmianami. Ale też wywołuje mniej kontrowersji. Jego praktykowanie powoduje więc o wiele mniej napięć społecznych.

Można sobie zadać pytanie: jak to się dzieje, że — na przykład — państwa skandynawskie, pozostające pod urokiem modelu socjaldemokratycznego stać na konkurowanie z biznesem amerykańskim czy japońskim? Odpowiedź — także na nasze tęsknoty odnoszące się do nieuzasadnionych porównań sytuujących perspektywę Polski i Szwecji na jednej płaszczyźnie — jest prosta: w nich drapieżny kapitalizm

(Dokończenie na str. 4)

(Dokończenie ze str. 3)

już był. My zaś jesteśmy dopiero na etapie wczesnego postkomunizmu. Kilkudziesięcioletnia akumulacja w krajach zachodnioeuropejskich stworzyła podwaliny luksusu aprobowanych powszechnie rozwiązań socjalnych. ALE TRZEBA BYŁO PRZEJŚĆ PRZEZ OKRES BRUTALNEGO KAPITALIZMU.

● Unika Pan Profesor odpowiedział na moje pytanie...

— Na temat wyboru modelu gospodarczego nie chciałbym się wypowiadać i dla tego — oddając co cesarskie cesarzowi — że jest to problem dla polityków. Mogę proponować model preferowany przez zachodnioeuropejskich socjaldemokratów lub model amerykański tylko ... muszę brać pod uwagę stopień skomunizowania socjalnego w Polsce wyrażający się w hasłach: równe żądki, powszechne prawo do pracy itp., itd.

Co wybiorą politycy — nie wiem. Wydaje mi się, iż bliższy temperamentowi Polaków i bardziej przystający do nastrojów panujących obecnie w naszym kraju byłby model praktykowany przez zachodnioeuropejskich socjaldemokratów.

● Pozostawiłby więc Pan Profesor państwo w charakterze właściciela istotnych gałęzi przemysłu, łączności i transportu?

— Tak. Prywatyzowane winny być niemal wszystkie gałęzi gospodarki narodo-

wej, jednak niektóre o charakterze strategicznym winny pozostać jako państwowe. Jeżeli jednak w gestii państwa pozostają najistotniejsze moduły gospodarcze, to nie może się ono wyrzekać centralnego sterowania. Nie może się uchylać przed posunięciami interwencyjnymi czyli przed tzw. ograniczonym interwencjonizmem państwa wym. Nie może się państwo — w takiej

obu tych sferach (rolnictwie i handlu) po winny działać prawa liberalne. Zresztą w żadnej dziedzinie gospodarki nie powinniśmy tworzyć mitów. To, co kapitalistyczne powinniśmy traktować w zgodzie z zasadami rynkowymi. W innych sferach — jeżeli zachodzi taka potrzeba — państwo nie powinno wyrzekać się roli interwencyjnej.

Dziewięć mitów obowiązujących nadal w naszej gospodarce

jak założyliśmy wyżej sytuacji — wyrzec tych powinności w imię obłudnego hasła: „Ma działać wolny rynek”.

● Te zasady jednak — moim zdaniem — nie powinny dotyczyć handlu i rolnictwa...

— Rolnictwa, z wyjątkiem PGR-ów i quasi rolniczych spółdzielni, nie musimy kapitalizować. Mamy to szczęście, że kolektywizacja zupełnie się w Polsce nie powiodła. Nasza wleś wprawdzie jest mocno rozwarstwiona, ale i w miarę solidnie — jak na warunki państwa postkomunistycznego — skapitalizowana. Oczywiście w

● Nie poruszaliśmy wielu istotnych spraw — ot, choćby regresu w gospodarce mieszkaniowej, utraty polityki płac, niedostatków w sztuce zarządzania całą gospodarką czy przedsiębiorstwem.

— Są to rzeczywiście niezwykle istotne zagadnienia. I właśnie dlatego nie chciałbym ograniczać się do bardzo ogólnikowego prezentowania mojego stanowiska wobec tych kwestii. Mogę się wszakże zobowiązać — jeżeli Czytelnicy „Opinii” będą się tymi problemami interesowali — iż nie będę unikał odpowiedzi na nie.

● Dziękuję za rozmowę.

Gierpienia młodego biznesmena

Największy pewex-świata

Wystawa „Agopolu” odbywa się tradycyjnie raz do roku w Pałacu Kultury i Nauki w Warszawie. W tym roku było to na przełomie lutego i marca. Dawniej senna, nieprawa — w tym roku była zupełnie odmienna. Zmiany na pierwszy rzut oka niewielkie. Wiele tych samych firm, tych samych stoisk, podobny wystrój, niezmienny od lat. (Dla niewtajemniczonych informacja: wystawa się TV i handluje głównie delikatesami spożywczymi i kosmetykami). Ci sami z reguły przedstawiciele znanych i mniej znanych firm zachodnich zaopatrujących od lat z dobrym skutkiem „Pewex” i „Baltone”.

W poprzednich latach, mimo wystawienia szokującej ilości ekskluzywnych, jak na polskie warunki, towarów — wiało tu nudą. Przedstawiciele firm ziewali, popijając napoje o różnej zawartości alkoholu i oganiali się przed natarciwością dziennikarek, które pod pozorem przeprowadzenia wywiadów z tymi przedstawicielami próbowały wyłudzić za darmo trochę kosmetyków.

W tym roku wrzało jak w ulu. Wszyscy przedstawiciele i ich kontrahenci byli zaganiani, spracowani, zmęczeni.

Dawniej; najciekawsze były ostatnie godziny ostatniego dnia „Agopolu”. Panowała rodzinna atmosfera, wszyscy wymieniali podarki jakby była Wigilia. Wystawcy, obsługa techniczna — wszyscy poruszali się na zwolnionych obrotach. Jedni na mniejszym — inni na większym rauszu. Strzelaty korki od szampa, wznoszono toasty. Niektórzy byli nawet nieźle nabombowani.

Ale to już historia. W tym roku będąc na finiszu wystawy złapałem się na tym, że nie spodziewałem się ujrzeć tam na raz tyle trzeźwych twarzy. Co się więc zmieniło w tym „największym Pewexie świata” — jak nazwał tę wystawę ktoś przed laty?

Zmiany powierzchowne są takie, że przestali przyjeżdżać wielcy typu Yves

Saint Laurenta. Na ich miejsce pojawiły się małe firmy. Zmiana zasadnicza jest taka, że ze strony polskiej pojawiło się bardzo wielu, w większości tylko potencjalnych, kontrahentów. Dążą oni do złamania wszelkimi sposobami dotychczasowego monopolu. Czy tym młodym, przeważnie ludziom, niekoniecznie bogatym, za to z głowami pełnymi pomysłów, może się to udać?

Z punktu widzenia przedstawiciela firmy zachodniej wygląda to tak: dawniej mieliśmy dwóch kontrahentów: Pewex i Baltone, które kupowały większe ilości kosmetyków. Potem doszły jeszcze promy i domy towarowe „Centrum” (gdy otworzyły sprzedaż dewizową). Na zawarcie tych umów nie potrzeba było wiele czasu. Zostawało go dużo na towarzyskie ple-pie, odwiedzenie kolegów w innych stoiskach, czy po prostu, popijanie.

W tym roku kontrahentów wprost nie mogłem zliczyć. Oczywiście, żaden z nich nie jest tak poważny jak Pewex, ale zsumowanie ich potencjałów bije go na głowę. Rozmowy były trudne, żmudne, bez konkretnego rezultatu. Powody tego były inne dla dwóch odmiennych grup kontrahentów. Jedni to ci, którzy chcieliby kupować od nas półprodukty. Propozycje tego typu przedkładane były w różnych wersjach i różne miały być formy współpracy. Ale żadna tego typu umowa nie jest dla nas do przyjęcia. Nie możemy się zgodzić na to by utracić kontrolę nad tym co się będzie sprzedawać pod naszą firmą.

Dla przykładu na polskim rynku w kioskach „Ruchu” ukazał się krem na którym ilustą czcionką wydrukowane było, że wyprodukowany został w kooperacji z Heleną Rubinstein. Otdź niewątpliwie więcej w tym kremie było kooperacji niż Heleny Rubinstein.

Druga grupa kontrahentów to ci, którzy chcieli kupić od nas pewne ilości gotowych wyrobów. Ale chcieli aby były to te same produkty, które sprzedajemy do Pewexu. Niestety, sytuacja wygląda tak, że wiążą nas z naszymi kontrahentami w Polsce umowy na wyłączność dystrybucji przez nich danego towaru w Polsce. Dlatego sprzedajemy domom „Centrum” inne towary niż Pewexowi. Zerwanie tych klauzul spowodowałoby płacenie przez nas wysokich kar i być może zerwanie kontraktów.

A przecież Pewex jest jedynym kontrahentem mającym w Polsce dobrze zorganizowaną sieć dystrybucji. Poza tym przyjeżdżam tu od wielu wielu lat i wiem, że od dawna oczekiwaliśmy na sytuację jaka jest dzisiaj — na pojawienie się wielu interesujących partnerów.

Czekaliśmy tyle — poczekajmy jeszcze rok. Poobserwujmy. Zobaczymy co będzie, gdy zaczną się sprzedaż złotych kowa. Następne targi Agopolu, za rok coś powinny ujawnić.

A nasi młodzi biznesmeni? Oni nie mogą tak długo czekać. Zamiast własnej sieci Pewexu mają pomysły. Dlatego biegają od stoiska do stoiska z obłędem w oku i kalkulatorkiem w kieszeni. Spieszą się. Najchętniej zebrałi by oferty wszystkich firm i wybrali najkorzystniejsze. Ale tu cena jest tajemnicą handlową. Cenę się negocjuje. System ten foruje dotychczasowych monopolistów, którzy mogą panoszyć się na polskim rynku pobierając marże nie spotykane nigdzie w handlu światowym. Zaciętrze wiony młody dżentelmen powiedział w związku z tym: „Gdyby Pewex był prywatny mógłby sprzedawać za połowę tych cen i jeszcze by zarobił”. Spojrzalem na niego z zainteresowaniem. Mimo Balcerowicza śni mu się jeszcze prywatny Pewex?

PAWEŁ WOHL

„Niemcy”? A gdzie to jest? Nie umiem znaleźć tej ziemi, kraj uczonych zaczyna się tam, gdzie kończy się kraj polityków”. Tak pisali w „Xeniach” dwaj wielcy przedstawiciele niemieckiej klasyki — Goethe i Schiller — których ojczyzną z wyboru stał się Weimar. I właśnie to miejsce — jak stwierdziła Anna Seghers — znaczy najlepsze i najgorsze karty historii Niemiec.

Fenomen tak bliskiego sąsiedztwa dobra i zła w dziejach niemieckiego państwa, był przedmiotem częstych rozważań. Dziś, kiedy w środku Europy odraza się potężny organizm polityczny, dawne pytania i wątpliwości pojawiają się na nowo.

Jedną z konsekwencji upadku Trzeciej Rzeszy była „niemiecka jesień '48”. W relacji szwedzkiego dziennikarza i pisarza Stiga Dagermana jej symbolem stały się tłumy uchodźców ze wschodu i nieustający deszcz, który egzystencję pokonanych Niemców, często pozbawionych dachu nad głową, czynił jeszcze trudniejszą do zniesienia. Wśród gruzów i rumowisk Berlina, Hamburga czy Dreżna, jedynie piwnice nadawały się bowiem do zamieszkania. Z głodu, nędzy i poniżenia naród niemiecki miał wyciągnąć naukę na przyszłość. Przyjmowano wszystko bez najmniejszego słowa i sprzeciwu, choć jak wiadomo, głód jest złym doradcą.

W myśl komunikatu konferencji poczdamskiej naród niemiecki miał ponieść karę za zbrodnie „dokonane pod przewodnictwem tych, których popierał i którym był ślepo posłuszny”. Kilka miesięcy wcześniej, podczas konferencji w Jaltcie, przedstawiciele trzech zwyciężących mocarstw: Roosevelt, Churchill i Stalin rozważali różne warianty podziału Niemiec. Decyzja ta zapadła ostatecznie w Poczdamie. Terytorium byłej Trzeciej Rzeszy — wyłączając obszar położony na wschód od linii Odra—Nysa Łużycka — został podzielony, początkowo na trzy, później na cztery strefy okupacyjne. Nad całością sprawowała władzę Sojusznicza Rada Kontroli. Ten sam los spotkał również Berlin.

Początkowo mocarstwa nie były zgodne co do wspólnej polityki wobec pokonanych Niemiec. Nie kwestionowano jedynie konieczności „wykorzenia” w narodzie niemieckim ducha narodowego socjalizmu oraz stworzenia warunków pozwalających Niemcom na spłacenie olbrzymich reparacji wojennych. Henry Morgenthau, jeden z wpływowych doradców Roosevelta, opracował plan, w którym postulował przekształcenie Niemiec w kraj agrarny o charakterze federacyjnym. Natomiast ZSRR domagał się przymusowego zatrudnienia robotników niemieckich w krajach szczególnie zniszczonych przez wojnę.

W miarę pogłębiania się konfliktu między Wschodem a Zachodem, podzielenie Niemcy stawały się coraz bardziej obiektem przetargowym walczących się stron. Doktryna Trumana i plan Marshalla przesądziły już wówczas o rozpadzie Europy na dwa bloki polityczno-gospodarcze. Polityka aliantów zmierzała do stopniowego usamodzielnienia się podległych im stref. Po utworzeniu na wschodnich obszarach Niemiec partii komunistycznej, również i na zachodzie wznowiły swoją działalność partie polityczne. „Z punktu widzenia psychologii alianci popełnili ogromny błąd — analizuje tę sytuację dr Emil Franzel — kiedy narodowi niemieckiemu, który żądał pracy i chleba, zaoferowali zamiast tego polityczną reorientację. Po doświadczeniach państwa totalitarnego, w którym polityka wnikała do wszystkich sfer życia prywatnego, ludzie chcieli, aby zostawić ich w spokoju (...) Byłoby mądrzej, gdyby po-

zwolono im pracować i zaczęto z repolityzacją”.

W początkowej fazie o wpływach i popularności danej partii decydowały osobowości reprezentujących je przywódców — przede wszystkim Kurta Schumachera i Konrada Adenauera.

Polityka Schumachera, przywódcy SPD, była zdecydowanie antykomunistyczna i antysowiecka. Również zawzię-

Historia Niemiec toczy się dalej

cie krytykował on jednak państwa Europy Zachodniej, a Wspólnotę Węgla i Stali nazwał „Europa czterech K” — konserwatywna, klerykałna, kapitalistyczna, kartelowa. Propagując hasła narodo-wo-zjednoczeniowe wypowiadał się przeciw jakimkolwiek związkom z Francuzami. Inaczej koncepcja ta rysowała się w programie Unii Chrześcijańskiej. Jej przywódca Konrad Adenauer uznawał prymat polityki zagranicznej, której głównym atutem miała być integracja europejska w oparciu o ścisłą współpracę niemiecko-francuską, nawet kosztem rezygnacji lub przesunięcia na plan dalszy kwestii ponownego zjednoczenia Niemiec. W ten sposób Adenauer zamierzał przywrócić swojemu narodowi pełną suwerenność oraz prestiż międzynarodowy, a jednocześnie ustrzec go od zagrożenia ze wschodu.

Decydującym krokiem w kierunku integracji europejskiej była remilitaryzacja RFN i przyjęcie jej do Paktu Północnoatlantyckiego. Jednocześnie Adenauerowi udało się nawiązać stosunki dyplomatyczne z Moskwą. Wynikiem wizyty kanclerza federalnego w ZSRR było zwolnienie przebywających tam niemieckich jeńców wojennych i więźniów politycznych. Zdaniem hamburskiego tygodnika „Die Zeit”, sukcesy te były jednak tylko pozorne. Nawiazanie stosunków dyplomatycznych RFN ze Związkiem Radzieckim oznaczało bowiem faktyczne potwierdzenie istnienia drugiego państwa niemieckiego, które Chruszczow określił mianem „systemu przyszłości”. Proces podziału Niemiec uległ w ten sposób dalszemu pogłębieniu. Tymczasem w NRD pojawiły się głosy, domagające się podjęcia rozmów w sprawie zjednoczenia.

10 lat po blokadzie Berlina Zachodniego przez ZSRR i słynnej akcji Mostu Powietrznego, zorganizowanej przez generała Luciusa Claya doszło tam do kolejnego kryzysu. Związek Radziecki wysunął pod adresem RFN ultimatum, mające na celu oderwanie Berlina Zachodniego od Republiki Federalnej. Cel ten nie został na szczęście osiągnięty, kryzys berliński zakończył się jednak faktem, który wstrząsnął Niemcami: 13 sierpnia 1961 miasto rozdzielił mur, wzniesiony w samym sercu Berlina.

Wkrótce w oficjalnej terminologii NRD zaczęło funkcjonować określenie „antyfascystowski wał ochronny”. Sformułowanie to miało skutecznie przez wiele lat rozdzielać dwa światy jednego narodu. Timothy Garton Ash badający „niemiecką NRD” stwierdził: „krok przez mur jest jak krok przez zwierciadło, wchodzi się w świat na opak”.

Tymczasem era świetności „kanclerza aliantów” minęła bezpowrotnie. Rządy twórcy „cudu gospodarczego” Ludwiga Erharda nie przyniosły istotnych zmian w polityce niemiecko-niemieckiej. Dopiero po utworzeniu wielkiej koalicji z Kurtem Georgiem Kiesingerem na czele położono nacisk na zaktywizowanie polityki zagranicznej. Pełnej realizacji plan ten doczekał się jednak dopiero po objęciu urzędu kanclerza przez Willy Brandta, czołowego przywódcę SPD, który postanowił „odważyć się na więcej demokracji”. W sprawie jedności niemieckiej Brandt opowiadał się za „zjednoczeniem poprzez zbliżenie”. Doktryna Hallsteina straciła w związku z tym rację bytu. Po raz pierwszy oba państwa niemieckie wymieniły wizyty na szczeblu rządowym w Erfurcie i w Kassel.

Na drodze do uregulowania stosunków z NRD i innymi państwami socjalistycznymi zasadniczą przeszkodą była nie rozwiązana kwestia zachodniej granicy Polski. W tej sprawie Brandt, powołując się na postanowienia konferencji jaltańskiej wypowiedział się następująco: „Żądanie Polski, która domaga się prawa do życia w państwie o bezpiecznych granicach, rozumiemy lepiej niż kiedykolwiek ze względu na obecny los naszego własnego, podzielonego narodu. Jednakże granice ponownie zjednoczonych Niemiec mogą być ustalone tylko w dokumencie potwierdzonym przez ogólnoniemiecki rząd”. Mimo tego oświadczenia kanclerz Brandt podpisał w Warszawie układ o nienaruszalności polskiej granicy na Odrze i Nysie. Traktat ten, podobnie jak układ ze Związkiem Radzieckim otworzył drogę ku porozumieniu NRD: RFN. Marion Gräfin Dönhoff, wywodząca się z Prus Wschodnich, a więc reprezentująca generację wypędzonych pisała na łamach „Die Zeit”: „Nikt nie jest bez grzechu. Jednakże próba wzajemnego rozliczenia jest nie tylko bez sensu, ale doprowadziłaby także do tego, że przekleństwo złego czynu nadal rodziłoby zło. A więc nowy początek? Tak, gdyż w przeciwnym razie eskalacja nigdy się nie skończy. A więc pożegnanie z Prusami? Nie, bowiem duchowe Prusy muszą w epoce materialnych pożądań nadal oddziaływać, w przeciwnym razie to państwo, które nazywamy Republiką Federalną Niemiec nie ostoi się”.

Jednak dopiero lata 80-te przyniosły zdecydowany przełom w stosunkach wschód-zachód. Politycy zachodni Niemcy upatrują nowe szanse na zjednoczenie Niemiec w zmianach zachodzących w Europie Wschodniej. „Nie przesuwanie granic, lecz ich przewycięzanie, na drodze porozumienia i humanizmu wspólnie z naszymi wschodnimi sąsiadami — to jest główne założenie naszej polityki wschodniej i niemieckiej” — powiedział w 1987 r. Helmut Kohl w kolejnym raporcie o stanie narodu. Jakie rozstrzygnięcia przyniesie przyszłość? — Historia Niemiec ciągle toczy się dalej.

Nawet jeżeli od tego czasu postawa Kanclerza wobec Europy i zjednoczenia Niemiec uległa istotnym zmianom, nie zmienia to faktu podstawowego — porządek europejski ustalony po drugiej wojnie staje się historią. Jakie rozstrzygnięcia przyniesie przyszłość? — Historia Niemiec ciągle toczy się dalej, ale chyba będzie to już historia całkiem innego państwa.

(MP)

List dwunastu senatorów USA do Kanclerza H. Kohla i Premiera Modrowa

DROGI KANCLERZU KOHL I PREMIERZE MODROW:

Wierzmy, tak jak i wy, że nienaruszalność powojennych granic europejskich jest fundamentem stabilizacji i pokoju w Europie i na świecie. Jakiegokolwiek wątpliwości dotyczące niemieckich intencji wobec obecnych granic powinny być jak najszybciej wyeliminowane.

Zarówno RFN, jak i NRD, mają podpisane z Polską oddzielne układy, które zatwierdzają obecne granice jako satysfakcjonujące wszystkie strony. Oba państwa niemieckie są również sygnatariuszami Aktu Końcowego z Helsinek i zawartych tam ustaleń terytorialnych (część I, rozdział 1a, paragrafy III-IV). Zalecamy Polsce i obu państwom niemieckim przystąpienie bez zwłoki do negocjowania jednego układu granicznego w miejsce dwóch. Nowy układ mógłby



Rano — tak, wieczorem — nie!
Fot. WISŁAW SUMIŃSKI

być podpisany teraz a ratyfikowany przez przyszły parlament zjednoczonych Niemiec. Proces ten powinien przebiegać równocześnie z rokowaniami „2 + 4”.

Wierzmy, że takie działania mogłyby całkowicie rozwiązać wszelkie obawy Polski oraz obawy Kanclerza Kohla, że obecny układ nie może być wiążący dla zjednoczonych Niemiec, a także przyspieszyć proces zjednoczenia obu państw niemieckich.

Senatorzy USA:
BARBARA MIKULSKI, DALE BUMPERS, ALFONSE M. D'AMATO, ALAN CRANSTON, CLAIBORNE PELL, DANIEL PATRICK MOYNIHAN, PAUL SIMON, DENNIS DECONCINI, ALAN J. DIXON, JOHN F. KERRY, HERB KOHL, KENT CONRAD.

Sonda ◆ Sonda ◆ Sonda ◆ Sonda ◆ Sonda ◆

MACIEJ FRANKIEWICZ

Przed wszystkim odnoszę wrażenie, że sprawa zagrożenia ze strony Niemiec jest jakby tematem zastępczym dla opinii polskiej. Osobiście mnie przeraża, że to co nie udało się przez te wszystkie lata propagandzie komunistycznej (myślę o mówieniu nam, że jedynym zabezpieczeniem przed zagrożeniem ze strony Niemiec jest obecność na naszych ziemiach wojsk sowieckich). Ludzie przyjmują w chwili, gdy wojna w centralnej Europie jest zupełnie nierealna. Powstaje sytuacja paradoksalna: Gorbaczow publicznie oświadcza, że jest gotowy wycofać wojska z Polski i oczekuje jedynie jasnego stanowiska rządu polskiego. I takiej decyzji ze strony władz RP nie ma. Pojawiają się wręcz sugestie, że stacjonowanie wojsk sowieckich jest nam potrzebne. Myślę, że jest w nas ciągle wiele z mentalności niewolników. Po raz pierwszy od bardzo wielu lat mamy szansę zrzucić krępujące nas więzy, pozbyć się wojsk, których nie można określić inaczej niż okupacyjne. Nie robimy tego, boimy się? Czemu? Niemiec? Czy też może bardziej odpowiedzialności? Wracając do samych Niemiec myślę, że będzie to państwo demokratyczne, zagrożenia z jego strony nie ma powodu przesadnie się obawiać. Konflikt między Polską a Niemcami, jeśli będzie miał miejsce to rozstrzygać się będzie na polu gospodarczym, kulturalnym, a z pewnością nie przy pomocy karabinów.

Moim zdaniem Polska nie powinna się przeciwstawiać zjednoczeniu Niemiec. Jeśli zaś chodzi o granice na Odrze i Nysie to zamiast zebrania o cotygodniowe potwierdzanie jej przez kolejnych przywódców ważniejsze wydaje mi się wyrażne stwierdzenie, że granicę tę uznajemy za ostateczną i będziemy jej bronić. Sam udział delegacji polskiej w konferencji wydaje mi się sprawą nie aż tak ważną.

J. ROBERT NOWAK — SD

Domagamy się udziału Polski w rokowaniach na temat zjednoczenia Niemiec z uwagi na to, że Polska w przeszłości była główną ofiarą kolejnych agresji niemieckich. Dwuznaczna postawa kanclerza Kohla w sprawie granic i wybuch pruskiego nacjonalizmu w NRD nie są najlepszym prognozykiem z punktu interesów narodowych Polski. Uważam, że na mocarstwach zachodnich ciąży szczególnie wielka moralna odpowiedzialność wobec Polski. To bierność mocarstw zachodnich w 1939 roku zadecydowała o sukcesie ówczesnej napaści niemieckiej na Polskę. Później zaś w Jalcie mocarstwa

zachodnie sprzedały nas z wiadomymi konsekwencjami. W atmosferze obecnych zagrożeń zewnętrznych tym pilniejsza jest sprawa zjednoczenia całego narodu polskiego wokół obrony narodowych interesów Polski.

MACIEJ ŁĘTOWSKI — STRONNICTWO PRACY

Uważam że nie ma zasadniczych różnic między stronnictwami i partiami oraz rządem w Polsce jeśli chodzi o stosunek do zjednoczenia Niemiec. Naszym zdaniem bez względu na to czy Polska będzie uczestniczyć w konferencji 4+2 czy też nie, zabiegać powinniśmy o ostateczne uregulowanie naszej granicy na Odrze i Nysie oraz o takie sformułowania końcowe tej konferencji, aby nie pozostawiały one „furtok” służących do wypaczenia jej postanowień. Stronictwo Pracy, które reprezentuję pragnęłoby, aby w przyszłości stosunki polsko-niemieckie wyglądały podobnie jak obecnie stosunki francusko-niemieckie. Niestety, ostatnie działania dyplomatyczne kanclerza Kohla nie będą ułatwiały tego procesu.

JACEK CZAPUTOWICZ

Proces jednoczenia Niemiec zaczął się już pewien czas temu i nie można go teraz zatrzymać. Każdy naród ma prawo do życia w takich strukturach państwowych za jakimi się opowiada. Również naród niemiecki powinien mieć takie prawo. W tej sytuacji postulat udziału Polski w rokowaniach na temat zjednoczenia Niemiec, zwłaszcza udziału dotyczącego kwestii związanych z kształtem przyszłego zjednoczonego państwa niemieckiego, wiąże się z potwierdzeniem polskich granic. Stąd też uważam, że w rozmowach tych Polska powinna mieć prawo uczestniczenia. Nie może się powtórzyć sytuacja, kiedy o zasadniczych dla Polski sprawach decydują inne kraje. Polska polityka zagraniczna musi zmierzać w kierunku stworzenia sytuacji, w której za kształt granic w Europie odpowiadałyby wszystkie kraje. Można to uzyskać poprzez potwierdzenie tych kwestii w ramach procesu helmskiego.

Z perspektywy ostatnich dni widzę, że działania polskiego rządu idą właśnie w kierunku takiego rozwiązania problemu granic i uczestnictwa przedstawicieli Polski w konferencji 4+2. O ile do niedawna myślałem, że nie ma szansy na to abyśmy w jakiegokolwiek formie znaleźli się przy stole rokowań, o tyle dziś — kiedy kilka krajów w kwestii niemieckiej zajęło zbliżone stanowisko do polskiego — uważam, że takie szanse istnieją.

Lepiej być tym najsilniejszym...

Z korespondentem zachodnioniemieckim, **KLAUSEM BACHMANEM**
rozmawia Marek Cichocki.

— Czy jest pan zadowolony ze zjednoczenia Niemiec?

— Zjednoczenie jest już faktem historycznym i nawet jeśli komuś to się nie podoba, to i tak niczego nie zmieni. Natomiast mogę powiedzieć, że nie jestem zadowolony ze sposobu, w jaki to zjednoczenie się dokonuje. Pamiętam, jak podczas rozmowy z dziennikarką Die Zeit, która zdecydowanie obstawała za samostanowieniem narodu niemieckiego, doszliśmy do przekonania, że jeżeli w ogóle ma dojść do zjednoczenia, to przedtem musi mieć miejsce referendum w tej sprawie.

Uważam, że Niemcy Wschodnie jednoznacznie powinny określić czy chcą zostać przyłączone. Dla mnie nie jest to tak oczywiste. Przypominam, że jeszcze kilka miesięcy temu sytuacja była całkiem inna. Opozycja w NRD dosyć jednoznacznie wypowiadała się za zachowaniem odrębności tego państwa. Niestety w tej chwili wielu polityków prowadzi, w sferze dyplomatycznej i ekonomicznej, politykę faktów dokonanych, i to w sposób całkiem nieuprawniony, bo przed marcowymi wyborami w NRD i przed konferencją czterech mocarstw oraz obu państw niemieckich.

— Tymczasem jednak społeczeństwo w Niemczech Wschodnich zdecydowanie domaga się zjednoczenia...

— Wiem, że wielu ludzi sądzi, że zjednoczenie rozwiąże wszystkie gospodarcze kłopoty w NRD. Tymczasem tak na pewno nie będzie. Przez najbliższe pięć, a może nawet dziesięć lat Niemcy będą zajęte prawie wyłącznie sobą. Zjednoczenie przyniesie na pewno bardzo dużo problemów, które trzeba będzie rozwiązać. Będą to m.in. koszty związane z przebudową gospodarki NRD, eksplozja bezrobocia, podwyższenie podatków, wzrost inflacji. Za to ktoś będzie musiał przecież zapłacić, a ściślej mówiąc, jakąś część trzeba będzie odebrać RFN, aby więcej dać NRD.

Nie jestem pewien czy wszyscy w Niemczech Zachodnich to rozumieją. Ludziom, którzy przez kilkadziesiąt lat żyli w dobrobycie, trudno jest się pogodzić z faktem, że teraz przez jakiś czas będą mieli gorzej.

— Wielu ludzi, nie tylko w Polsce, obawia się zjednoczenia Niemiec. Czy według pana te obawy są uzasadnione? Czy Niemców należy się bać?

— Myślę, że tak, ale nie w takim sensie i nie pod takim względem, jak to sądzi większość. Można przeczytać w prasie i usłyszeć na ulicy taki pogląd, że to co się stało podczas wizyty Kohla w Moskwie, to prawie drugi układ Ribbentrop — Mołotow. Takie obawy uważam za nieuzasadnione. Żyjemy w rzeczywistości politycznej, w której trudno by było sobie wyobrazić rozwiązanie jakiegokolwiek konfliktu w Europie drogą militarną. O sile państwa decyduje obecnie poziom gospodarczy a nie wojsko. I jeżeli Polacy mieliby już czegoś się obawiać, to właśnie zagrożenia ekonomicznego ze strony Nie-

miec... Najlepiej by było, gdyby sami stworzyli silne ekonomicznie państwo — w obecnej sytuacji nie będzie to łatwe...

Przy otwarciu na zachód, będą w Polsce powstawać przedsiębiorstwa z kapitałem zagranicznym, również firmy niemieckie. Natomiast czy to będzie oznaczało wykup kraju, to moim zdaniem zależy tylko od samych Polaków, jak do tego problemu podejną, jakie stworzą możliwości i ograniczenia. Na razie Polska ubiega się o kapitał zachodni. Nie ukrywam, że związane z tym obawy, mogą być uzasadnione.

— Czy nie uważa pan, że emocje, które towarzyszą konferencji cztery plus dwa, mogą nasuwać pewne skojarzenia z Jaltą. Mocarstwa znowu chcą decydować o przyszłości Europy bez udziału mniejszych narodów?

— (po długim milczeniu) ... na pewno tak. Zawsze jednak silniejszy dyktuje warunki. Można się na to obrażać, ale najlepiej po prostu zostać tym silniejszym... Oczywiście jeśli mówi się, że nowy porządek w Europie ma być oparty na zasadach demokratycznych, to również mniejsze państwa powinny uczestniczyć w jego tworzeniu. Nie oznacza to jednak, że jestem za udziałem Polski w konferencji cztery plus dwa.

— Dlaczego?

— Polska pomimo trudnej sytuacji ekonomicznej wdała się w grę o udział w konferencji cztery plus dwa, chociaż — moim zdaniem — nie ma dobrej pozycji, by swoje za-

dania przeforsować. Czy to jest słuszna polityka? To zależy od koncepcji. Jeśli w ten sposób chciano zmusić Niemców do uznania zachodniej granicy Polski, to było to bardzo zrzeczne. Jeśli natomiast naprawdę chodziło o uczestnictwo Polski w tej konferencji, to wątpię czy był to dobry pomysł. Być może jestem tchórzem, ale ja nie poszedłbym na takie ryzyko. Bałbym się ośmieszenia.

— A jak według pana — należałoby rozwiązać problem stacjonowania wojsk rosyjskich i amerykańskich w zjednoczonych Niemczech?

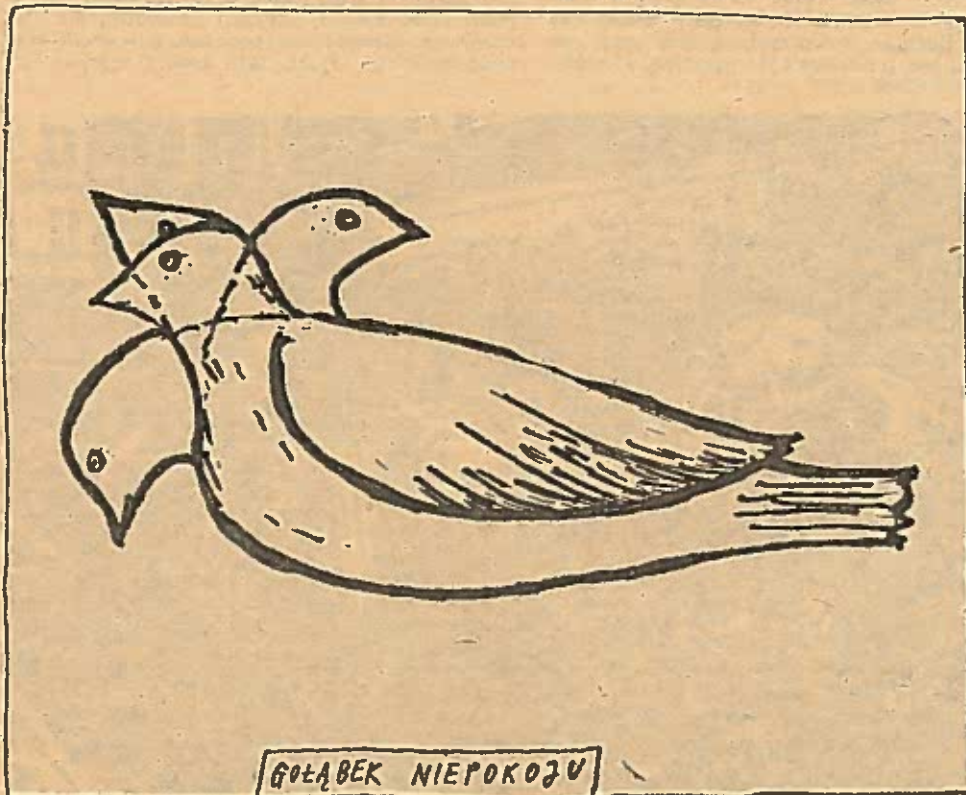
— Cała dyskusja wokół stacjonujących wojsk jest jakoś wewnętrznie sprzeczna. Przez długi okres Polacy uważali, że to co im najbardziej przeszkadza w suwerenności własnego kraju, to właśnie stacjonowanie rosyjskich wojsk, a teraz się mówi, że te wojska mają bronić suwerenności Polski.

Nie inaczej jest z Niemcami. Jeżeli mówi się o zjednoczeniu obu państw niemieckich, o traktacie pokojowym, który ostatecznie ma stanowić o suwerenności nowych Niemiec, a jednocześnie chce się zachować na ich terytorium obce wojska dwóch różnych bloków militarnych, to jest to, przepraszam, nielogiczne. Pewnym rozwiązaniem tego problemu byłoby wycofanie tych wojsk z terytorium Niemiec, przy założeniu, że sami Niemcy, bez nacisków, zdecydowałyby się na stworzenie własnego, defensywnego systemu obrony. Nie wierzę, aby przez najbliższe lata udało się utrzymać obecny stan, tym bardziej, że za kilka lat Związek Radziecki może w ogóle przestać istnieć.

— A jednak wielu Polaków w dalszym ciągu obawia się nowej potęgi Niemiec. Czy w obliczu takich nacjonalistycznych ruchów jak partia Republikanów, te obawy nie są uzasadnione?

— Nie uważam, aby Republikanie mogli odegrać większą rolę w życiu politycznym Niemiec. Natomiast istnieje inne zagrożenie, które wiąże się z każdym takim ruchem politycznym. Często małe partie przez to, iż są w opozycji, potrafią dyktować swoje koncepcje innym, większym partiom. Tak właśnie może się stać z Republikanami. Nie wchodząc do rządu, ale grożąc rządzącej koalicji odebraniem decydujących głosów w wyborach mogą pośrednio wpływać na pewne koncepcje polityczne. Tak się stało ze stanowiskiem Kohla wobec zachodniej granicy Polski. W ten sposób zaczyna się robić politykę Republikanów, bez Republikanów.

— Dziękuję za rozmowę.



Jeszcze niespełna rok temu gdyby ktoś zaczął mówić poważnie o zjednoczeniu Niemiec, słuchacze potraktowałiby go jak nieszkodliwego wizjonera. Dziś sytuacja zmieniła się diametralnie. Niemcy znaleźli się w przededniu zjednoczenia. W obliczu tych przemian należy postawić sobie pytanie: czy proces ten leży w interesie Europy i Polski? Pytanie to może wydać się retoryczne, ale gdy głębiej przyjrzeć się jego treści, okazuje się, że jest ono otwarte, a odpowiedzi mogą być różne.

Wydawać by się mogło, i tak głoszą środki masowego przekazu, że Europa zainteresowana jest stabilną granicą na Odrze i Nysie, a za nią silnym państwem polskim. W tym punkcie interes Europy równa się interesowi Polski. Jednakże może być i tak — uczy nas tego historia — że w interesie Europy leży przesunięcie wszelkich problemów na Wschód naszego kontynentu i utrzymanie pozorów bezpieczeństwa i spokoju na Zachodzie.

Czasy się zmieniły i taki scenariusz wydaje się niemożliwy do zrealizowania, zwłaszcza kiedy Europa jest bardziej niż kiedykolwiek posunięta w procesach „fraternizacji” narodów. Już kanclerz Adenauer uważał — dziś wydaje się to słuszne ze wszelkich miar, że klucz do zjednoczenia Niemiec leży w integracji Europy. Jego teza okazała się sprawą dziać, ale czy jutro nie przyniesie problemów, i dla Europy i dla Niemiec? Z wysokim prawdopodobieństwem zjednoczenie Niemiec przyniesie trudności, z których dziś nikt jeszcze nie zdaje sobie sprawy. Dla Niemiec będzie to początkowo osłabienie, które szczególnie odbije się na polityce zagranicznej i ekspansji gospodarczej dzisiejszej Republiki Federalnej Niemiec.

RFN liczy 50 milionów mieszkańców, a wchłonie organizm liczący 16,6 mln, oznacza to, że liczba Niemców w zjednoczonym państwie wzrośnie o 1/3 w stosunku do RFN. Problemy wewnętrzne, wiążące się z tym, są wprost niewyobrażalne, bowiem przepaść ekonomiczna i cywilizacyjna dzieląca obie części Niemiec sięga dziesięcioleci.

Jeżeli przyjąć, że Niemcy z NRD w szybkim czasie przystosują się, bądź zostaną przystosowani do wymagań zachodniej gospodarki, to wydajność pracy w połączonych Niemczech będzie należała do największych w świecie. Dla przykładu: przeciętna liczba godzin przetracowanych przez robotników w przemyśle przetwórczym kształtowała się następująco: 1988 rok Francja — 38,8, Polska — 34,3, RFN — 40,0. Widać w związku z tym, że Niemcy pomimo najwyższego poziomu rozwoju w Europie wykorzystują czas pracy w 100 proc., nie pozostawiając marginesu, który

odbilby się negatywnie na standardzie życia. Dzięki tak wydajnej pracy dochód narodowy wytworzony netto na 1 mieszkańca w 1987 roku wyniósł w RFN 16.099 dol. i był najwyższy w świecie. Dla porównania dochód narodowy Francji w tym samym roku wyniósł 13.772 dol., Polski 373.000 zł, NRD 15.700 Ost Mark. Jakby nie liczyć to z zestawienia tego widać, że zacofanie Polski i NRD jest

we Francji 6980 kwh/1 mieszk. Produkcję stali można mierzyć podobnie, w 1988 r. RFN wyprodukowała 692 kg surówki stali na 1 mieszkańca, Francja 340 kg na 1 mieszkańca, Polska 446 kg i NRD 488 kg. W wyniku zjednoczenia ilość wyprodukowanej surówki stali na głowę 1 mieszkańca co prawda spadnie, ale wartość globalna wynosić będzie blisko dwa razy więcej niż w Polsce i Francji razem wziętych. Nie inaczej wygląda sytuacja w produkcji tworzyw sztucznych. RFN na głowę 1 mieszkańca produkuje 141 kg tworzyw sztucznych, NRD 63,8 kg, Francja 62,0 kg, a Polska zaledwie 17,0 kg.

Nie od dziś wiadomo, że motorem napędzającym nowoczesną gospodarkę są badania naukowe, których wartości nie sposób przecenić. Nowoczesność i siła państwa wyraża się z jednej strony ilością osób zatrudnionych przy pracach badawczych, a z drugiej nakładami

Niemcy i ich sąsiedzi

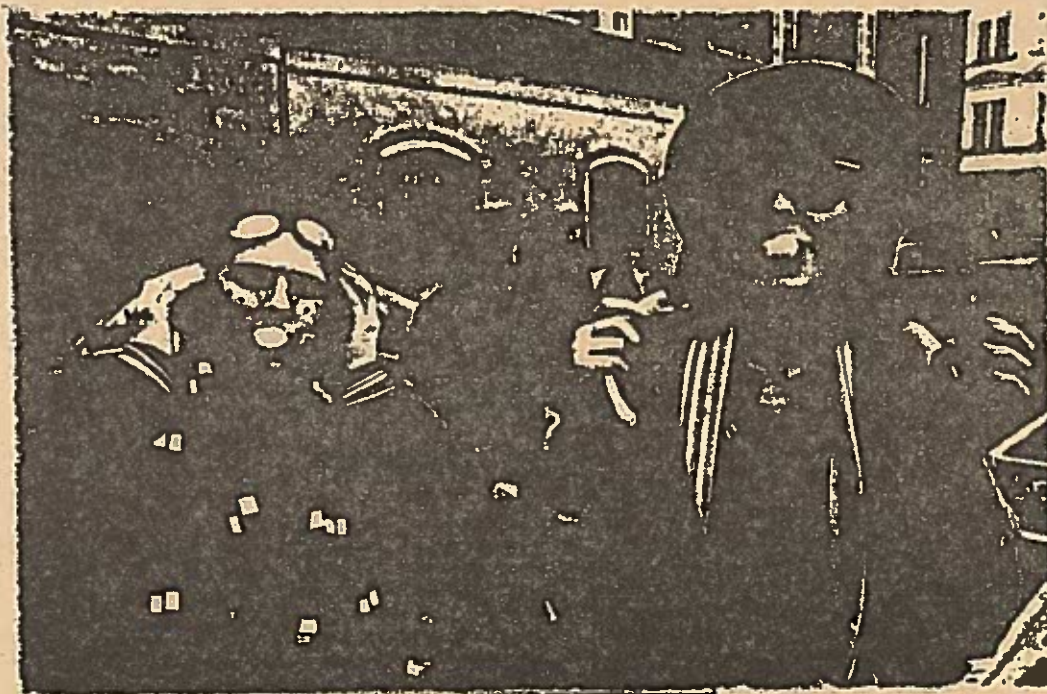
oczywiście, z tą różnicą, że odpowiednio wykorzystany potencjał drzemający w NRD, po początkowych latach recesji, może doprowadzić do eksplozji wydajności i do jeszcze większego dochodu narodowego w zjednoczonych Niemczech.

O sile gospodarki państwa decyduje w dużej mierze produkcja energii elektrycznej i surówki stali. I w tym przypadku liczby są nieubłagane. W produkcji energii elektrycznej zarówno RFN (6899 kwh/mieszk.) jak i NRD (7100 kwh/1 mieszk.) znajdują się w czołówce europejskiej podczas, gdy w Polsce produkuje się tylko 3812 kwh/1 mieszk. a

dami finansowymi na rozwój nauki. W Republice Federalnej w 1988 r. przy pracach naukowo-badawczych było zatrudnionych 253 tys. osób, w NRD 203 tys. (1988 r.), we Francji 273 tys. (1985 r.), a w Polsce w tym samym czasie tylko 107 tys. (bez szkolnictwa wyższego). Z powyższego zestawienia wynika, że połączenie potencjałów naukowych obu państw niemieckich doprowadzi do ich ogromnej przewagi liczby osób zajmujących się badaniami naukowymi. Również nakłady ponoszone przez RFN na rozwój prac naukowych są nieporównywalne z nakładami innych państw kontynentu. Wydatki RFN w tej dziedzinie w roku 1983 wyniosły 42,5 mld. marek podczas, gdy Francja wydała tylko połowę tego, tj. 28,6 mld. marek, NRD 10,5 mld. marek wschodnich, a Polska zaledwie 165 mld. złotych. Podobnie niekorzystne wskaźniki dotyczą bilansu handlowego z zagranicą. Zarówno z eksportu i z importu połączone Niemcy będą posiadać większe dochody niż Francja i Polska razem wzięte.

Można założyć, że początkowo dynamizm i ekspansja gospodarki niemieckiej załamię się. RFN, aby utrzymać dotychczasowe wskaźniki, będzie musiała poświęcić zbyt wiele pieniędzy i energii wschodniej części Niemiec. Optymizm z jakim w Europie Zach. podchodzi się do zjednoczenia Niemiec jest zbyt wielki i pochopny. Aż 43 proc. Francuzów i 62 proc. Anglików nie obawia się, że Niemcy staną się dominującą siłą w Europie. Czy ich pewność nie jest zbyt optymistyczna?

Z przedstawionych powyżej cyfr wynika w sposób oczywisty, że Niemcy po pewnym okresie — jak długi on będzie nikt nie jest w stanie powiedzieć — staną się gospodarczym mocarstwem w środku Europy. A państwa sąsiednie? Ani Polska, ze swą zdemolowaną gospodarką, ani nawet Francja, która przecież odgrywa poważną rolę w ekonomicznych strukturach EWG, nie będą mogły przeciwstawić się temu zjawisku. I wówczas aktualnym stać się może pytanie: Niemcy dla Europy czy Europa dla Niemiec?



Przez czterdzieści lat mieszkańcy NRD znali kapitalizm jedynie z telewizji. Tą drogą każdego wieczora zachodni świat przedstawiał się w szare i smutne życie wzdłużnych obywateli „jedynie demokratycznego państwa”. Aż pewnej listopadowej nocy wydarzyło się coś, o czym bano się nawet marzyć. Berliński mur przestał już dzielić i tysiące Berlińczyków ze wschodniej części miasta po raz pierwszy w życiu mogło się przekonać, że to co do tej pory oglądał, po kryjomu przed swymi sąsiadami, nie było atrapą, złudnym błyskiem krwiożerczego imperializmu, że dobrobyt istnieje naprawdę i to nie tylko w telewizji.

Jeszcze przed kilkoma zaledwie miesiącami przywódcy enerdowskiej opozycji, członkowie Nowego Forum, Demokratycznego Przełomu i Demokracji Teraz, przedstawiciele kościoła i inteligencji słysząc słowo — zjednoczenie — kręćli głowami mówiąc, iż nigdy do tego nie dojdzie. Postulowano utrzymanie suwerenności NRD i stworzenie własnej, alternatywnej do Zachodu, niezależnej drogi rozwoju.

Dzisiaj sytuacja jest całkiem inna. Jeśli jakiś polityk nie chce zostać wygwizdany przez tłum, musi opowiadać się za bezwarunkowym, najlepiej natychmiastowym zjednoczeniem Niemiec. Marzenia o niezależności rozpadły się jak domek z kart. „Wiem, że Polacy odbierają to dwuznacznie, ale po szoku jakim było zobaczenie kontrastu między poziomem życia we wschodniej i zachodniej części Niemiec, głosy na rzecz zjednoczenia są zrozumiałe”. Takimi słowami określiła sytuację w NRD Esther Maria Ulmann-Goertz z Demokratycznego Przełomu.

Walcząca o swe ideały enerdowska inteligencja, musiała więc przegrać z jednoznacznie brzmiącymi żądaniami ulicy — Deutschland einig Vaterland! Rozpoczęła się ucieczka w jedność, ucieczka przed widmem totalnego kryzysu gospodarki, przed chaosem i rozkładem całego systemu państwa, przed brakiem stabilności i jakiegokolwiek nadziei.

Tak niedawno jeszcze wtrętni Honeckerowi ciałem i duszą budowniczo socjalizmu, wobec nowej sytuacji okazali się nadzwyczaj pragmatyczni. Mówią, że cała gadanina o własnej drodze do dobrobytu nie jest nic warta, po co iść krętą drogą, jeśli można prosto?

Pewien stary człowiek w Berlinie wschodnim zapytany przez zachodniemieckiego dziennikarza o dzisiejsze problemy NRD odpowiedział: — Ekologia? Ekonomia? To przecież drugorzędne sprawy. Zjednoczmy się, a wszystko samo się rozwiąże.

Wobec takich nastrojów trudno się dziwić, że premier NRD swoje telewizyjne przemówienie nie do narodu zakończył patetycznym okrzykiem: „Niemcy jedną ojczyzną!”. W ten sposób dał do zrozumienia, że między nim a narodem nie istnieją większe sprzeczności, a w każdym razie w kwestii podstawowej mają jednakowe zdanie. W przeciwieństwie do enerdowskiej inteligencji ten człowiek dość szybko nauczył się, że w Niemczech Wschodnich występować przeciwko zjednoczeniu, to tyle, co popelnić polityczne samobójstwo. A pan Modrow nie zamierza przecież odchodzić, wręcz przeciwnie. Po błogosławieństwie, jakie uzyskał podczas swej pierwszej wizyty w Moskwie, Modrow spróbował nawet, zgodnie z oczekiwaniami Rosjan, przechylić iniekcję w procesie zjednoczenia państw niemieckich. Zaczął stawiać warunki, domagać się neutralności Niemiec. Inaczej mówiąc, NRD sprzeda się, ale nie bez licytacji. Wszystko jest jednak kwestią ceny. To wystarczyło by wśród swych kolegów z Bonn wywołać nerwową atmosferę.

Wkrótce jednak okazać się miało, iż Bonn nie zamierza zostawić najmniejszych wątpliwości, kto naprawdę posiada decydujący głos w kwestii zjednoczenia. Pierwszy przekonał się o tym sam Modrow. Jego wizyta w RFN zachodniemieckie gazety określiły jako „niechciane odwiedziny afrykańskiego króla”. W istocie bowiem rząd boński uczynił wszystko, aby swojego gościa zniechęcić, a nawet urazić. Praktycznie nie podjęto wówczas żadnych istotnych decyzji dotyczących zjednoczenia, nie uzgodniono niczego więcej ponad to, co już wcześniej zostało przesądzone.

Spełnienie z Kohlem, poza kilkoma nowymi niezręcznościami Kanclerza, nie wniosło ni-

czego nowego do sprawy. Natomiast konferencja prasowa wieńcząca wizytę, okazała się ostatecznym fiaskiem. Jeśli ktoś ją oglądał, mógł mieć wątpliwości, kto jest gościem i u kogo. Potężna sylwetka zachodniemieckiego kanclerza górowała nad piętrzącymi się przed nim mikrofonami. Jego radosna twarz mieniła się w blasku migających fleszy. Był niezaprzeczną gwiazdą tego wieczoru. Przeciwnie Modrow. Siedząc przy małym stoliku ustawionym z boku, z jednym tylko mikrofonem, wyglądał jak całkiem zbędny w tym przedstawieniu statysta, któremu z litości, biorąc pod uwagę fatalną sytuację materialną, na kilka zaledwie minut pozwolono pokazać się na scenie. Modrow nie ukrywał swego rozczarowania i goryczy.

Można jednak zadać pytanie, co obchodzi te wszystkie dyplomatyczne podchody przeciętnego Niemca z NRD, dla którego jedyną istot-

gwarantuje wszystkim obywatelom miejsce pracy. Jednym zdaniem: zjednoczenie — jak, bezrobocie — nie. Jest to warunek trudny do spełnienia, zważywszy, iż rząd NRD czyni wszelkie starania, by czym prędzej ściągnąć zachodniemiecki kapitał, który miałby podeprzeć chylącą się do upadku gospodarkę.

Obawy przed utratą pracy, jak również gromadzonych przez lata oszczędności w wyniku unii walutowej, powodują, że już teraz społeczeństwo NRD szuka wsparcia dla swoich interesów w polityce socjaldemokratów. Zachodniemieckie SPD potrafiło wykorzystać te nastroje i dzięki olbrzymim nakładom finansowym, mającym wesprzeć jej siłą strażną partię w Niemczech Wschodnich, poprzez propagandę i osobiste zaangażowanie niektórych polityków, doprowadziło do sytuacji, w której przed 18 marca, a więc jeszcze przed wyborami do Izby Ludowej NRD, oko-

Enerdowskie dylematy



PSZENICĘ ZJEM, ALE NA CHOLERĘ MI
MŁOT I CYRKIEL... ?

Rys. EWA MONTOWSKA

ną kwestią, jest to, czy zjednoczenie nastąpi już jutro, czy dopiero pojutrze. A jednak wbrew entuzjastycznym prognozom coraz bardziej oczywistym staje się fakt, że NRD pomimo olbrzymich apetytów w ogóle nie jest przygotowana na przyłączenie się do całkiem nowego zachodniego systemu ekonomicznego. Coraz więcej osób zaczyna zdawać sobie z tego sprawę i dlatego, z lekkim spoglądem w przyszłość. Oczywiście młodzi nadal decydują się „głosować nogami”, oni jednak nie mają niczego do stracenia, a prawie wszystko do zyskania. Co jednak stanie się z tymi, którzy pozostaną?

Mówi się, że RFN będzie potrzebować na odbudowę przemysłu w NRD około biliona marek. Jednocześnie aby wyrównać istniejące różnice ekonomiczne między oboma państwami, przez najbliższe dziesięć lat produkcja w NRD będzie musiała wzrastać każdego roku o 7 proc. Jest to wydajność, jaką nawet przemysł w RFN może pochwalic się bardzo rzadko. Przy takich założeniach ekonomicznych, biorąc również pod uwagę pojawienie się bezrobocia, zatrudnieni w NRD, po „beztroskich” latach socjalistycznego gospodarowania znajdują się wobec zupełnie nowych, twardych wymogów, stawianych przez zachodniemieckich inwestorów. Całkiem niedawno jeszcze związki zawodowe, FDGB, zagroziły strajkiem, jeśli rząd NRD nie za-

lo 53 proc. społeczeństwa wschodniemieckiego jest zdecydowane głosować na socjaldemokratów, podczas gdy CDU może liczyć jedynie na 13 proc. głosów. Również około 74 proc. obywateli NRD uważa, że to właśnie SPD najlepiej reprezentuje interesy obu państw niemieckich, natomiast CDU i CSU zafałszy tylko 20 proc.

Fakt ten świadczy o tym, że społeczeństwo NRD, nie zamierza pozbywać się swoich iluzji. Żądania socjalne, postawa roszczeniowa i populistyczne podejście do rozwiązywania problemów gospodarczych jest niewątpliwie wynikiem swoistej edukacji, jaką Niemcy wschodni przeszli przez ostatnie czterdzieści lat. Jest dowodem przyzwyczajenia, których nie łatwo jest się teraz pozbyć.

Pewien zachodniemiecki przedsiębiorca, który zatrudnił u siebie młodych robotników z NRD, zapytany jak sprawują się jego nowi pracownicy, odpowiedział szczerze — „Właściwie jestem z nich zadowolony. Trudno tylko tym młodym ludziom wytłumaczyć, że jeżeli w sklepie obok można właśnie kupić banany po wyjątkowo korzystnej cenie, to nie jest to jeszcze powód do tego, aby do pracy przychodzić z godzinnym opóźnieniem”. Jak mówią, przyzwyczajenie jest drugą naturą człowieka.

MAREK HELMAN

Mija właśnie trzydziesta pierwsza rocznica powstania w Lhasie. 10 marca 1959 roku Tybetańczycy, nie mogąc już znieść chińskiej okupacji, zwanej w przewartym języku komunistów „pokojowym wyzwoleniem”, rozpoczęli nierówną walkę na ulicach swojej stolicy. Był to kolejny akt dramatu rozgrywającego się na „dachu świata”.

Pierwszy rozpoczął się w roku 1949, gdy wojska chińskie najechały Tybet, rozbijając regularną armię tybetańską i narzucając Dalaj Lamie porozumienie, które w istocie rzeczy odbierało Tybetowi niepodległość. W 1959 roku Tybetańczycy udowodnili, że nie będzie spokoju w Tybecie, że będą do końca walczyć o przetrwanie. W walkach poniosło śmierć ponad 10 tysięcy powstańców. Podobno, gdy nie starczało ludzi, do walki ruszały wielkie tybetańskie psy.

Chińczycy mścili się straszliwie — w wyniku stosowania masowych represji zginęło w tym samym roku kilkadziesiąt tysięcy ludzi. Dalaj Lama, któremu groziła śmierć, uciekł do Indii. Rozpoczęła się partyzancka walka. Ta krwawa, choć z różnym natężeniem toczona wojna trwała bardzo długo, aż do roku 1974.

W tym samym czasie Chińczycy systematycznie niszczyli tybetańską kulturę. Z tysięcy świątyń nie zniszczonych pozostało jedynie trzynaście, ze stu tysięcy mnichów większość na wiele lat trafiła do obozów koncentracyjnych albo przepadła bez wieści. Komuniści są winni wymordowania 1,2 mln Tybetańczyków, tj. — jednej piątej całego narodu. Trzeba ich też obciążyć za spowodowanie z premedytacją głodu na wielką skalę i zaprzepaszczenie niezmiernych skarbów ludzkiej kultury.

Oczywiście były to „wypaczenia”, za które winę ponosi „banda czworga”. Takie w każdym razie jest stanowisko władz chińskich. Dziś zmieniło się wszystko. Tybet jest wolny.

POZORNA LIBERALIZACJA

Trwa „liberalizacja”. Rzeczywiście trwa... tyle, że polega głównie na stwarzaniu pozorów. Odbudowano świątynie, przywrócono do łask język tybetański, wiele osób wypuszczono z więzień i obozów. Znow można kupować buddyjskie książki, znow wolno mieć zdjęcia Dalaj Lamy. Wolno się nawet modlić. Tak to mniej więcej wygląda z punktu widzenia turysty spędzającego w Lhasie kilka dni. Takiego turystę łatwo oszukać, wmówić mu, że chińska „prawda” jest jedyną prawdą. Ale Chińczycy mają pecha. Niektórzy goście zostają dłużej. Na dodatek znają często raporty tybetańskiego rządu na wygnaniu, a co najważniejsze, — umieją patrzeć, dostrzec to, co Chińczycy pragną ukryć.

A rzeczywistość jest taka, iż Tybetańczycy stają się mniejszością w swojej ojczyźnie. Władze wszelkimi środkami zachęcają Chińczyków do osiedlania się w Tybecie. W prowincji Amdo (teraz zwie się bodajże Qinghai) mieszka tylko 700000 Tybetańczyków i 2,5 miliona Chińczyków! Dla tych ostatnich są wszelkie przywileje: mieszkania, wysokie płace, lepsze posady; dla tubylców więzienia i obozy pracy, które nie pustoszą nawet w czasie „liberalizacji”.

Szkoły przyjmują przede wszystkim dzieci chińskie; zaledwie jeden na pięciu młodych Tybetańczyków uczy się czytać i pisać. Istniejący przez wieki system edukacji w klasztorach, został zniszczony. Klasztory wprawdzie odbudowano, ale tylko te, które stoją przy głównych drogach i w miastach odwiedzanych przez turystów. Mnisi wrócili z obozów (z wyjątkiem setek tysięcy tych, którzy za wyrzeczenie się swej religii ponieśli śmierć). Ponieważ jest ich teraz zbyt mało, są klasztory, gdzie przebiera się w mniste szaty chińskich żołnierzy. Jest więc niepowtarzalna szansa porozmawia-

nia z buddyjskim lama, który nie zna tybetańskiego i nie ma zielonego pojęcia o naukach Buddy. Młodzi Tybetańczycy, którzy chcą się uczyć albo przyjąć mnisie ślubowania, mają tylko jedną drogę: ucieczkę do Nepalu lub Indii.

CHIŃCZYCY DO DOMU

Jak dotąd nie udało się jednak Chińczykom złamać ducha dumnych Tybetańczyków. Gdyby nie kilkaset tysięcy chińskich żołnierzy, Tybet odłączyłby się od „ojczystych” Chin w ciągu 24 godzin. Komuniści zdają sobie sprawę, że ich władza opiera się tylko na czołgach i karabinach, że nie zdołali zasymilować Tybetańczyków. Dlatego też ze szczególną energią tępią wszelkie przejawy tybetańskiej niezależności, krwawo tłumią powstania, rozbijają demonstracje, represjonują strajkujących.

Ale i tak mury zdobiją napisy: „Chińczycy, wracajcie do domu!”. „Zabiliście wielu, ale wszystkich nie zabijecie!”. Co roku w Lhasie wybuchają zamieszki. Od

czną pałką, uderzając wiele razy w piersi, usta i głowę... Nawet teraz mam kłopoty z pamięcią i uczeniem się nowych słów”.

Na represje Tybetańczycy odpowiadają przede wszystkim biernym oporem — ciągłymi manifestacjami i strajkami. Jest to zgodne z duchem buddyzmu odrzucającym stosowanie przemocy.

Ale wielu młodych ma już dosyć bierności. Tibetan Youth Congress, choć uznaje Dalaj Lamę i jego rząd, rzucił hasło „obrony czynnej”. C. Scoffier pisze: „W grudniu 1966 roku zorganizowano zamach na sekretarza KPCh w Lhasie. Mały kraj śniegów ożywa, gdyż wyczerpała się jego tysiącletnia cierpliwość. Od Lhasy do Tingri młodzi Tybetańczycy w dżinsach i wiatrówkach budzą się (...). W kraju, w którym nigdy nie używano siły i przemocy, teraz stosuje się plastyk i strzelby.”

Aby nie dopuścić do wzrostu militarnego znaczenia chińskich baz na „dachu świata”, organizuje się „kolejówki”. Dzięki atakom na mosty i pociągi, Chińczycy musieli zaniechać budowy kolei Pekin-Lhasa... Okupant jest w stanie utrzymać tylko drogi o znaczeniu strategicznym...”

W latach osiemdziesiątych Pekin próbował prowadzić pertraktacje z rządem Dalaj Lamy. Jednak stanowiska obu stron okazały się nie do pogodzenia. Dalaj Lama ogłosił „pięciopunktowy plan pokojowy”, skutkiem którego Tybet stałby się

To jest Tybet

powstania w marcu 1989 roku (w którym zginęło od 200 do 500 Tybetańczyków) w Lhasie obowiązuje stan wyjątkowy. Sąd ludowe wymierzają tzw. sprawiedliwość, np. 30 listopada 1989 r. skazano 10 mnichów na kary 10—19 lat więzienia za „nielegalną działalność kontrrewolucyjną”.

Nadal powszechnie stosuje się tortury. Amerykańscy lekarze, którzy po swym zeszłorocznym pobycie w Tybecie sporządzili wstrząsający raport na ten temat, piszą, że niemal połowa spośród aresztowanych osób, z którymi rozmawiali, była torturowana. Trzymanie ludzi zanurzonych w lodowatej wodzie, wieszanie ich głową w dół albo przywiązywanie za kciuki, bicie, stosowanie elektrowstrząsów — oto typowy zestaw środków perswazji stosowanych na trwających w nieskończoność przesłuchaniach.

Yoeden Choedrak, 29-letnia pielęgniarka, opowiada: „Krzyczałam, gdy chińska policjantka zdierała ze mnie ubranie. Później bito mnie po całym ciele elektry-

państwem o ograniczonej niepodległości (autonomia w sprawach wewnętrznych, ale wspólna z Chinami polityka zagraniczna), przekształconym w strefę demilitaryzowaną. Chińczycy uważają, że ich wojskowa obecność w Tybecie nie podlega żadnej dyskusji. Zresztą w ogóle trudno z nimi dyskutować — oto na przykład zaproponowali, by Dalaj Lama wrócił do kraju (to znaczy do Chin...) pod następującymi warunkami: 1) nie może mieszkać w Tybecie, 2) ma pracować na rzecz zjednoczenia wielkiej ojczyzny, tj. Chin, 3) musi położyć kres demonstracjom Tybetańczyków za granicą, 4) uznać, że Tybet należy do Chin.

UWIERZYLI TYBETAŃCZYKOM

Po masakrze na placu Tienanmen i przyznaniu Dalaj Lamie pokojowej Nagrody Nobla (która jak twierdzą chińskie władze „zrania uczucia chińskiego ludu”) wszelkie rozmowy zostały zerwane.

Nie wydaje się jednak możliwe, by Chińczycy zdłbiał długo utrzymać w Tybecie status quo. Zmieniła się atmosfera na świecie: tybetańska tragedia trafiła na czołówki gazet. Zmiany nastąpiły także w Chinach. Dotąd z nacjonalistycznych przyczyn większość Chińczyków akceptowała zobarczą politykę swej ojczyzny. Strzelające do nich ich własne wojsko pozwoliło im teraz zrozumieć wiele rzeczy. Jeden ze studentów, który przeżył masakrę w Pekinie, powiedział: „Teraz możemy uwierzyć, że to, o czym mówili Tybetańczycy przez te wszystkie lata, rzeczywiście się zdarzyło. Przed czerwcem było nie do pomyślenia dla Chińczyków, że Ludowa Wyzwoleńcza Armia może być użyta przeciwko bezbrodnej ludności!”.

Przed wszystkim jednak Chińczycy nie mają szans na zwycięstwo z powodu determinacji Tybetańczyków. Ten dzielny naród nigdy nie pogodził się z myślą, że musi zamienić Buddę na Marksa i Mao Tse Tunga. I dlatego Chińczycy wcześniej czy później będą musieli stąd odejść. Ony wcześniej.

Tybetański kierowca zatrzymuje swoją furgonetkę u stóp wzgórza, na którego szczycie widać sławny klasztor Sera. Podchodzi do niego młody, chiński żołnierz z automatem w dłoniach. „Dalej nie wolno iść — mówi — Chiński rząd na to nie pozwala”. „Kogo obchodzi chiński rząd?” — pyta Tybetańczyk wysiadając z samochodu. „To jest Tybet” — dodaje i rusza stromą ścieżką prowadzącą do świątyni.



Reprod.: PAWEŁ RUDZIŃSKI

TOMASZ MERTA

Zainteresował mnie, bo ma fatalną opinię. Zwłaszcza w kręgach lewicy emigracyjnej w Paryżu, bo nie jest lewicowy. Bo związał się nie z tą „Solidarnością” co trzeba, tylko z „Solidarnością Walczą”. Bo nie wiadomo dlaczego on, taki młody, jest sekretarzem Stowarzyszenia Polskich Kombatantów. Bo strzelał do Murzynów, czy też ruskich udających Murzynów (bądź odwrotnie). O tym, czy Murzyni strzelali do niego, moi rozmówcy jakoś nie wspominali.

Umówiłem się więc z nim na rozmowę. Dodatkowym motywem była książka, która się akurat ukazała w Londynie, a na początku 1989 roku miała przywędrować do kraju: „Kondotierzy”. Refleksje, które tu przedstawiam, to zarówno wrażenia z tej książki, jak i — przede wszystkim — z rozmowy. Najpierw jednak dopełnię formalności i przedstawię mojego bohatera: Rafał Gan-Ganowicz, rocznik 1932, dziennikarz.

Rafał Ganowicz i Sowietci udający Polaków

Gdy wybuchło Powstanie, Rafał miał lat dwanaście. Więc nie walczył. Oczywiście prze nosił jakąś pocztę, biegał z meldunkami, lekarstwami jak wielu warszawskich chłopaków, ale to wszystko. Walczył i zginął w Powstaniu jego ojciec, żołnierz AK. Wcześniej, we wrześniu 1939 zginęła matka Rafała, ranną odłamkiem pocisku. Po upadku Powstania został sam. Włóczył się wokół Warszawy, zebrał, potem zamieszkał w ruinach. Na ruinach też pewnego dnia zobaczył przyklejone plakaty: AK — zapłuty karzeł reakcji. Potem poznał osobieście tych, którzy te plakaty wymyślili: Otóż: Rafał miał starszego kolegę, 14 czy 15 lat, więc już walczył miał nawet krzyż Virtuti i przestrzeloną nogę, tak że chodził o kulach. I właśnie z tym kolegą postanowili iść do szkoły. Nowe władze zachęcały do nauki, obiecywały stypendia. A tu przecież bohater, co by nie mówić — taki dzieciak i Vir tuti...

Poszli razem, właściwie poszedł tylko ten starszy, bo Rafał potem zrezygnował. Bo kiedy ten o kulach wdrapał się po schodach i zgłosił do odpowiednich urzędników — ci szybko odnaleźli go na jakiejś liście, kto wie, czy nie na liście oznaczonych AK-owców. Wyzwali go od skurwysynów i faszystów i dosłownie zrzucili go ze schodów łamiąc mu drugą nogę.

To było pierwsze spotkanie z nową Polską. Potem już było życie w ruinach i walka. Najpierw ulotki, napisy na murach i chorągiewki zarzucane na druty tramwajowe, a potem walka z bronią w ręku. Bo Sowietci udający Polaków nie patyczkowali się nawet z dziećmi. Nie próbowali nawet łapać tych podejrzanych o rzucanie ulotek, tych malujących hasła: wyjmowali nagany i strzelali jak do psów.

Więc zorganizowali samoobronę. Wsiadali do tramwaju po czterech i jeździli tak długo, aż wsiadł jakiś milicjant czy ruski oficer. Wtedy robili sztuczny tłok, któryś odcinał dynda-jący na koalicję pistolet. Podawał następne mu, ten jeszcze następne, ostatni chłopak z bronią wyskakiwał z tramwaju. Potem mogli się odstrzeliwać tym „myśliwym” w czerwonych krawatach, którzy dotychczas tak bez karnie na nich polowali. I nagle okazało się, że czerwoni się boją, że odważni są tylko w kupie. Chłopcy wygrali bitwę o ruiny.

Grupa Rafała była jakoś podwiązana pod WIN. Kiedy zaczęły się wyspy, otrzymał polecenie wyjazdu do Wrocławia. Poszedł na dworzec — na jednym torze pociąg do Wrocławia, na drugim do Berlina. Moment wahania i wskoczył do tego drugiego. A właściwie: wcisnął się pod niego, między wagon a

wózek, na jakieś sztangy, między jakieś żelazta — wplątując się rękami i nogami, niemal wgrzając zębami, by nie wypaść. Jazda trwała drżnąciami godzin. W Berlinie znalazł się rankiem. Był czerwiec 1950, bodajże 25.

Rafał Ganowicz i Sowietci udający Murzynów

18-letni uchodźca dostał się do kompanii wartowniczych. Myślał o nich przez pryzmat romantycznych lektur, myślał, że pod przykrywką tych kompanii powstają nowe Legiony Dąbrowskiego, myślał, że z bronią w ręku wróci w ich szeregach do kraju. Rzeczywistość okazała się bardziej prozaiczna: wielkie mocarstwa dogadały się kosztem Polski, kompanie wartownicze rozwiązano, niedoszli legionści tułali się po Europie — nikomu nie potrzebni, wynajmujący się do przypadkowych robót.

Rafał Ganowicz zrozumiał, że nie wróci do kraju. I on i jego koledzy postanowili jednak kontynuować walkę. Jeśli nie mogłem walczyć z Rosją w Polsce — mówi — mogłem

okazać walki z komunistyczną infiltracją trafiła się w Jemenie. Narzędziem Moskwy był tu prezydent Nasser: on rozpętał w tym państwie prokomunistyczną ruchawkę, by potem — już na prośbę rebeliantów — przyjechać na czołgach, sowieckich zresztą, z internacjonalistyczną pomocą. Do tych czołgów Ganowicz strzelając mówił: to za wrzesień 39, to za Ka tyń, to za zapłutego karla reakcji...

Nie tylko z czołgami walczył. Jego największe zwycięstwo, które miało mieć rezonans międzynarodowy, zostało odniesione w walce z pewnym samolotem. Trzeba pamiętać, że Sowietci i w Jemenie kryli się za plecami miejscowych „rewolucjonistów”, odgrywali „doradców”, naserowskich „sojuszników” — i cały czas udawali, że nie walczą. A walczyli i to okrutnie: paląc ziemię napalmem, strzelając do wszystkiego co żyje — bo wszystko co żyło, było tam przeciw nim. To było podobne do tamtych polowań w warszawskich ruinach...

Pamiętam — wspomina Ganowicz — jak nasz jeep jechał doliną Seher'zad, kiedy nadleciał Mig 21. Dobrze strzelał, ledwo wyko-

Romantyk antykomunizmu

poszukać innych frontów, walczyć z nią gdzie się da. Ostatecznie Legiony Dąbrowskiego też nie walczyły w Polsce, tylko we Włoszech, na wet na San Domingo.

Rafał Ganowicz znalazł swoje San Domingo. Kiedy w Kongo Lumumba rozpętał rewolucję komunistyczną, kiedy Czumbe zaczął poszukiwać żołnierzy i oficerów — zgłosił się, został dowódcą XII batalionu katangijskiego, jednego z trzech, które bronili Stanleyville.

Była to walka skazana na klęskę — a jednak utrzymali pozycje. Sam nie wie jak wytrzymał. Przez wiele dni od świtu do wieczora atakowały ich całe masy przyfitywnie uzbrojonych, lecz nie bojących się śmierci Murzynów, mas, ogłupione haszyszem, podniecone dźwiękiem tam-tamów, skandujące „Mulele maj”.

Sowieci działali chytrze: poprzez szamanów. A szamani nienawidzili białych — księży, lekarzy, nauczycieli — bo tam, gdzie tylko wchodziła „biała” nauka, tam kończyła się władza szamana. Więc Sowietci podburzali szamanów, przekupywali paciorkami i narkotykami, obiecywali stanowiska w przyszłym komunistycznym państwie. Szamani z kolei ogłupiali swoich Murzynów, zapewniając, że starczy w ataku skandować odpowiednie zaklęcie, a kule i pociski białych zmienią się w wodę. Więc co świt wychodzili z buszu nowe oddziały żołnierzy skandujące „Mulele-maj”. „Mulele” to było nazwisko generała, a „maj” oznaczało wodę. To było właśnie to czarodziejskie zaklęcie: „Skandując je szli i padali od kul, które jakoś nie zamieniały się w wodę. A szamani byli gdzieś z tyłu, a doradcy so-wieccy jeszcze dalej...

Rafał Ganowicz i Sowietci udający Arabów

Walka w Kongo nie przyniosła zwycięstwa Katangijszym, ale nie przyniosła go i Sowietom. Olbrzymie złoża kobaltu, miedzi i diamentów nie służą czerwonomu. I była w tym — w jakiejś cząstce — także zasługa Ganowicza i jego żołnierzy. Było wśród nich paru jeszcze Polaków, paru Belgów i — przede wszystkim — setki samych Katangijszczyków, którzy bronili swej wolności. Nie są wolni — ale nie są też zamknięci w czerwonym obozie, coś jednak wywalczyli, coś wywalczył dla nich i Ganowicz.

Potem wybrał się na drugi front. Kolejna

czyliśmy z samochodu porywając po drodze ckm, kiedy trafił, samochód stanął w ogniu.

Ganowicz i jego żołnierze zaczęli strzelać z tego wymontowanego cekaemu, opodal, zza jakichś kamieni, strzelali do samolotu jacyś Jemeńczycy, ze swoich antycznych strzelb. Kłóć trafił. Samolot jakby podkoczył na niewidzialnej przeszkodzie i zaczął spadać. Gdy dobiegł na miejsce katastrofy, pilot już nie żył.

Ze znalezionych dokumentów wynikało, że był to sam pułkownik Kozłow, szef sowieckiej „misji doradczej”. Inne dokumenty zawierały spis podległych mu 36 pilotów. To była zdobycz ważniejsza od samolotu. Dokumenty zostały przekazane do ONZ, gdzie... zrobiono wszystko, co można, aby sprawę wycisnąć. Ale nie dało się dłużej utrzymać w tajemnicy udziału radzieckich wojskowych. W Afryce jeszcze udawało się Sowietom: posługiwali się murzyńskim mieczem, kryli się za plecami szamanów, za biednymi ogłupionymi czaruchami krzyżującymi „Mulele-maj”. W Jemenie zostali chwyceni za rękę. I była w tym znów jakaś zasługa polskiego kondotiera. Niewielka zapewne, ale zawsze. Na początku 1970 roku „doradcy” radzieccy musieli opuścić Jemen, zamknięto ich bazę w Al-Hudejda. Kraj jest podzielony, kraj jest daleki od demokracji — ale jest wolny, nie jest drugą Kubą.

To stanowisko po prostu mu się należy...

Jemen był frontem ostatnim. Dla Rafała Gan-Ganowicza, Polaka z Tatarów, ostatni żołnierz Rzeczypospolitej zmienił narzędzie walki. Jest dziennikarzem, pisze. Jak nikt zna metody Sowietów, demaskuje ich kłamstwa, ostrzega przed obłudą. W miarę sił pomaga krajowi, zwłaszcza „Solidarności Walczącej”, choć — zdaniem niektórych b. komunistów powinien pomagać właśnie b. komunistom i tzw. lewicy łaskiej.

Poza tym Rafał Ganowicz jest sekretarzem Stowarzyszenia Polskich Kombatantów. To stanowisko po prostu mu się należy.

BOHDAN URBANKOWSKI

Gan-Ganowicz „Kondotierzy”, Londyn 1989, Wyd. Krajowe: Solidarność Walcząca 1990. Wywiad z autorem „Kondotierów” ukazał się niebawem w miesięczniku „Pogład”.

ADAM MICHIK BOI SIĘ WOLNYCH WYBORÓW?

Redaktor naczelny „Gazety Wyborczej” poinformował nas 7 marca, że: „Nie jest rzeczą odpowiedzialną wzywać do natychmiastowych wyborów, bo trzeba przedtem rozważyć związek tych pomysłów z reformą ekonomiczną Balcerowicza i polityką rządu Mazowieckiego. Jest dla mnie oczywiste, że wzywanie do wyborów dzisiaj oznacza destabilizację polityczną. Wtedy, gdy przekształceniu ekonomicznym potrzebna jest stabilność”. Warto potrudzić się i wysupiać nie wysłowione założenia tego bogatego w treści tekstu. A zatem: mariaż „reformatorskiego skrzydła nomenklatury” (Jaruzelski, Kiszcza, Siwicki, wreszcie posłowie eks PZPR) oraz „konstruktywnej opozycji”, to jest właśnie to, co tygrysy lubią najbardziej? Mocna dłoń wyżej wymienionych trzech panów zapewni jak widać najskuteczniejszą realizację pomysłu Balcerowicza i polityce Mazowieckiego?... Natomiast odwoływanie się do woli wyborców niespełnanej 65 procentowym „narzutem” na rzecz komunistów byłoby wtrącaniem kraju, jak to ładnie powiadał min. Urban, „w chaos i anarchię”? Należy więc dalej rządzić w oparciu o parlament wyłoniony dzięki tajnym przetargom w Magdalence? Choć przecież wiemy, że legitymizacja tego organu ustawowczego nie była wola wyborców, ale wola negocjatorów. Przynajmniej co się tyczy owych 65 procent z góry wyznaczonych miejsc. Zatem aktualny sejm, w którym równą wagę ma głos posła rzeczywiste wybranego przez społeczeństwo i osobnika faktycznie mianowanego przez niegdysiejszą PZPR, jest w rzeczy samej rodzajem prowizorycznej rady nieślusnie przypisującej sobie legalne uprawnienia suwerena, tj. najwyższego wyrażiciela woli zbiorowej, tych bowiem niestety zlepione niespójnie gremium nie może w pełni posiadać... Otóż całkowicie wolne wybory prowadzące do ukonstytuowania się autentycznego suwerena na pewno pociągnęłyby za sobą zmiany polityczne, być może nie na korzyść nomenklatury przechowywanej pod dobrze już splekanym błędem okrągłego stołu. A wielu aktualnych (neo)prominetów mogłoby także wyładować na poboczu? Poddany ładowi prawnemu ustrój demokratyczny oparty na wolnych wyborach niesie istotnie spore ryzyko „destabilizacji” dla sprawujących władzę... Pamiętają o tym rządzący w jedynie słuszny sposób przywódcy krajów, które „jeszcze nie dorosły do demokracji”. A jeśli na moment zapomną, jak nieszczęsny Ortega, to gorzko płaczą.

Jan Prokop
Kraków

NASIENNE DYLEMATY

Piszę list do Was z prośbą o pomoc (ewentualną publikację listu) ponieważ straciłam nadzieję na względnie sprawiedliwe wyjaśnienie spraw z którymi się zwracam.

Jako plantatorka nasion tebuli i marchewki zastałam okradziona przez Inspekcję Nasienną — Okręgowy Inspektorat Stacji Oceny Nasion we Wrocławiu „współpracujący” z Przedsiębior-

stwem Nasiennictwa Ogrodniczego i Szkółkarstwa „CNOS” we Wrocławiu. Kradzieży nasion dokonuje się poprzez wpisywanie do wystawianych świadectw wartości siewnej zaniżonych, nieprawdziwych parametrów. Moje nasiona zostały ukradzione w ten sposób, że do pełnowartościowych nasion dosypano nasion o zaniżonej wartości siewnej. Gdy odkryłam — przypadkowo — fałszowanie próbek zarządziłam powtórne przeprowadzenie próbowania z moich nasion. Analizy z zafalszowanej próby nie dopuszczano do wykonania. O całej sprawie poinformowałam dyrektora Inspekcji Nasiennej we Wrocławiu, który — o zgrozo! — nie podjął żadnych interwencji wyjaśniających. Podobnie zareagował redaktor przedsiębiorstw CNOS. Obiecał, że weźmie sprawę w swoje ręce i przeprowadzi odpowiednie, dokładne badania nasion. Wobec braku wyników moich interwencji zgłosiłam ją w KGMO w Warszawie oraz w NIK-u. Tam oświadczone mi, że „nie można przeszkadzać KGMO”. Sprawy do rozpatrzenia nie przyjęto. Jednocześnie zarządzano abym jej nie rozgłaszała. Widząc, że wszystko zmierza do zafalszowania tego prowadzonego na wielką skalę złodziejstwa napisałam list do gen. Kiszcza, prosząc o nadzór w dochodzeniu. Odpowiedzi nie otrzymałam. Zgłosiłam się też do prokuratury rejonowej Wrocław Śródmieście. Prokuratura Rejonowa umożliwiła sprawę. Odwołałam się do sądu wojewódzkiego, który także sprawę umożliwił zamykając całkowicie dalszą, prawną drogę. W związku z niewyjaśnieniem sprawy usiłuję zalać ją nadal. Zwracam się do byłej PZPR oraz do Ministerstwa Rolnictwa.

W dniu 31.05.1989 przyjeżdżają do mnie przedstawiciele Ministerstwa oraz Inspektor Inspekcji Nasiennej z Wrocławia, kierowniczka Planacji z Przedsiębiorstwa CNOS i przedstawicielka NIK-u. Z tego spotkania kontroli nie nie wynikało. Zaproponowano mi odstąpienie sfalszowanych nasion do przedsiębiorstwa CNOS. Tam mieli pobrać próby. Znając mało wiarygodne działania CNOS w kierunku wyjaśnienia sprawy próbowałam oponować. Oświadczyłam, że nasiona odstawię, ale kwestia jest pilna i wymaga podjęcia konkretnych działań na najwyższym szczeblu w celu przerwania nadużyć. Mówiłam o tragedii plantatorów — tak samo jak ja okradanych.

Wszystko wskazuje na to, że w państwowym kraju prawo nie funkcjonuje. Czy nie ma żadnych szans na państwowość? Czy kradzieże nadal „będą” poza prawem?

JADWIGA NAJDEK-KARYS
Wrocław
(sprac. K.P.)

CZY BENTKOWSKI JEST ŚLEPY?

Przysłuchując się wypowiedziom p. Leszka Moczulskiego podczas programu TV INTERPELACJE, dnia 28.12.89 r. z udziałem Ministra Sprawiedliwości Aleksandra Bentkowskiego i Dyrektora Gen. CZŻK Romualda Soroki zostałam do-

słownie zaszokowany treścią ich wypowiedzi, a to dlatego iż znam również więzienie od wewnątrz, gdyż przesiedziałem w nich dość długi okres. Ludzie którzy byli przedtem; tak samo są i obecnie (mam na myśli strażników służby więziennej). Aktualnie są stosowane takie same metody przy szumnej reorganizacji jakie były stosowane w okresie rozkwitu stalinizmu. Od 2 lat mam do czynienia także z osobami odbywającymi kary pozbawienia wolności, gdyż w przedsiębiorstwie gdzie pracuję jest zatrudniona grupa młodych ludzi, która przebywa w Oddziale Zewnętrznym Zakładu Karnego w Stargardzie Szczecińskim z siedzibą w Kluczewie k. Stargardu. Jak wynika z wypowiedzi tych młodych ludzi to obecnie skazany, odbywający karę, jest jedynie przedmiotem — stosuje się w stosunku do osadzonych przemoc fizyczną, psychiczną i poniża uwłaszczając ich godności osobistej.

Przykładem może być zdarzenie, które miało miejsce dnia 28.12.89 roku na Oddziale Zewnętrznym ZK w Stargardzie — Kluczewie, gdzie jeden ze skazanych W. Bertyński z wykształcenia inżynier został pobity przez wychowawcę tego Oddziału, a także dyżurnego oddziałowego. Całe zajście oglądali inni osadzeni. Złożone wnioski i oświadczenia dla konwojenta grupy — byłego majora WP Pająka miały taki skutek, że następnego dnia urządzano libację alkoholową na tym ośrodku, natomiast osadzonych dalej traktuje się jak nic. Prokuratura Wojewódzka nie podjęła żadnych czynności, a zwierzchnie, władze więziennictwa także się tym przypadkiem nie zainteresowały. Nie jest to po prostu pierwszy przypadek pobicia na tym ośrodku skazanego przez funkcjonariuszy służby więziennej, ale jak do tej pory nikomu nie udało się zaprowadzić porządku. Z wypowiedzi osadzonych wiadome mi jest, że w przypadku, gdy osadzony jest niewygodny niezwłocznie jest wywożony do ZK Stargard Szczeciński na Oddział Zamknięty.

Wypowiedzi Ministra Bentkowskiego, których udzielał we wspomnianym programie nie można niczym tłumaczyć — chyba ten człowiek boi się służby więziennictwa, bo nie może podjąć żadnych decyzji, które by właśnie usunęły z tego resortu wielu nieprzydatnych ludzi, którzy psują robotę i opinię wszystkim uczciwym strażnikom więziennym. Jestem przekonany, że w przypadku dokładnego badania przytoczonego przykładu naruszenia prawa przez funkcjonariuszy służby więziennej, odpowiednia komisja przesłuchując osadzonych dowiedziałyby się wielu, wielu rzeczy, którymi musiałyby się zająć organy ścigania, a Pan Bentkowski przejrzałby na oczy.

(nazwisko i adres znane redakcji)

Od Redakcji: Zachowujemy stylizację oryginału, nie wnikamy w treść listu, polecamy go jednak uwadze Ministrowi Sprawiedliwości i Prokuratorowi Generalnemu.

Z teleksu ■ Z teleksu ■ Z teleksu ■ Z teleksu ■ Z teleksu

- * Senat RP, przy jednym głosie przeciw i dwóch wstrzymujących się, przyjął stanowisko w rocznicę wydarzeń marcowych 1988. Jest to pierwsza oficjalna wypowiedź władz RP w tej sprawie.
- * W wyborach na Ukrainie, Litwie, Białorusi i Republice Rosyjskiej, po raz pierwszy od 70 lat, wzięła udział opozycja.
- * Trwają strajki górników w Doniecku i Lwowie
- * Demonstranci w Ulan Bator domagali się ustąpienia rządu i partii komunistycznej.
- * Władze ZHP i Prezydium Krajowego Konwentu Odrodzenia ZHP zawarły kompromis w sprawie przemian w związku. Gwarantem porozumienia jest Minister Edukacji Narodowej.
- * Sześciokrotnie wzrosły opłaty skarbowe, np. sporządzenie aktu ślubu kosztować będzie aż 30 tys. zł.
- * Bezrobocie: najgorzej jest na Zamojszczyźnie,

- gdzie nie ma wolnych miejsc pracy.
- * Elektrownia atomowa w Czarnobylu została zamknięta — taką decyzję podjęła Rada Najwyższa Ukrainy.
- * Prasa radziecka opublikowała projekt ustawy o urzędzie prezydenta.
- * Trwają spory koalicyjne w Bonn wokół sprzecznych oświadczeń Kohla w sprawie granic.
- * „Czarna procesja” przed Sejmem — domagano się podziału Warszawy na samodzielne gminy-dzielnice.
- * Rozpoczęły się niemieckie rozmowy zjednoczeniowe.
- * ZSRR — ustawa o własności: ziemia i bogactwa naturalne nie będą już własnością ogólnozwiązkową, lecz poszczególnych republik.
- * Z „Tygodnika Powszechnego” do MSW — Krzysztof Kozłowski, z-ca red. został po-

wolany na stanowisko wiceministra spraw wewnętrznych.

- * Od 8 do 31 marca małe fiaty można kupować z 4-ro milionową bonifikatą.
- * Wracają dawne nazwy ulic Warszawy: Plac Wilsona, Al. Odrodzenia Polski.
- * Polsko-czechosłowacko-węgierskie spotkanie z udziałem szefów państw i ministrów spraw zagranicznych odbędzie się prawdopodobnie 9 kwietnia w Bratysławie.
- * Krzysztof Skrobiszewski ma na początku kwietnia złożyć oficjalną wizytę w Finlandii.
- * Dwaj milicjanci z DUSW Warszawa-Wola dopuścili się kradzieży w sklepie „Konsu-mów” przy ulicy Górczewskiej. Tym razem nie udało się zwałić wina na włamywaczy.
- * Do 1992 r. ZSRR wycofa wszystkie wojska z Mongolii — głosi tekst porozumienia między Moskwą a Ulan Bator.
- * Pierwszy w Polsce przeszczep wątroby u 8-letniej dziewczynki dokonano w Centrum Zdrowia Dziecka.
- * W Czeskim Cieszynie po raz pierwszy zebrał się Polacy, którzy domagają się szacunku dla mniejszości, polskiej żyjącej na terenie Czechosłowacji.
- * W Timisoarze trwa proces 21 członków Securitate odpowiedzialnych za masakrę demonstrantów w grudniu ub. roku.
- * 27 krajem członkowskim Europejskiej Organizacji Łączności Satelitarnej „Eurogat” została Polska
- * Projekt ordynacji wyborczej przyjęła Sejmowa Komisja Nadzwyczajna.
- * W Jastkowicach, woj. tarnobrzeskie, odkryto kolejne zbiorowe miejsce mordu stalinowskiego NKWD
- * W rejonowym RUSW w Szczecinie nie ma już Służby Bezpieczeństwa — poinformował szef szczecińskiego WUSW, gen. Wernikowski.
- * Dzień 13 kwietnia ogłoszony Światowym Dniem Pamięci Ofiar Katynia — to fragment oświadczenia Komitetu Katyńskiego, skierowanego do marszałka Sejmu i Senatu.
- * Prymas Józef Glemp w liście pasterskim, w związku z Wielkim Postem, przypomniał istotę okresu umartwień i wyrzeczeń związanych z przygotowaniem do przeżycia cierpień Chrystusa.

(M.M.)



◆ Podglądanie świata ◆ Podglądanie świata ◆

CO KRYJĄ NASZE ŚCIANY?

W Moskwie znaleziono w ścianie bloku mieszkalnego kapsułę zawierającą radioaktywny cez. Od lat mieszkańcy tego bloku przedwcześnie umierali. Jakże jeszcze niespodzianki zostawił nam realny socjalizm?

ROBOTY ZIEMNE

Odkryto tunel wykopany przez koreańskich komunistów umożliwiający szybkie przerzucenie wojsk pancernych na teren Korei Południowej. Jest to piąty wykryty tunel spośród około dwudziestu, których istnienie się podejrzewa. Jak widać KRL-D, to pracowite i pokojowo nastawione państwo.

JAK COŚ ZMIENIĆ TAK, BY NIC NIE ZMIENIĆ

Cennej wskazówki na ten temat dostarczył ostatnio nowy przywódca Rumunii, Roman, powołując na miejsce skompromitowanego ministra obrony Wiktora Stanculescu. Stanculescu był wiceministrem Ceausescu w 1981

roku. Od 1985 r. nadzorował przemysł zbrojeniowy i kierował zdobywaniem dokumentacji technicznej na Zachodzie.

MILE PERSPEKTYWY

Posłowie OKP przebywali w Waszyngtonie, by przyrzeć się jak funkcjonuje amerykańska demokracja. Jednak wiele rzeczy im się nie podobało. Grażyna Staniszevska powiedziała na przykład: „Taka zależność od waszych wyborców utrudnia podejmowanie twardych decyzji, jak na przykład podniesienia podatków”. Już wiemy, co nas czeka.

ZAWRÓT GŁOWY OD SUKCESÓW

Na Kubie w wyniku niedotrzymania przez Rosjan umów handlowych ograniczono dzienne racje chleba (poza stolicą kraju, Hawanę) ze 100 do 80 gramów.

ZMAGANIA Z POLSZCZYZNĄ

Artur Międzyrzecki w poniedziałek 5 marca powiedział w telewizji, wspominając pro-

fesora Szaniawskiego, że był on „intymnym przyjacielem księdza Jęrzego”.

Przejęzyczenie, czy pomówienie?

MEMENTO

John Le Carre — autor zapierających w piersiach sensacyjnych książek o tematyce szpiegowskiej — tłumaczy, czemu zakończenie zimnej wojny nie oznacza przerwania działań wywiadowczych: „Łatwiej i daleko bardziej naturalnie jest szpiegować przyjaciół niż wrogów”.

WOJNA!

Wojska aliantów, brytyjskie i amerykańskie wylądowały w porcie syberyjskim Władywostoku jeszcze w dniu 3 sierpnia. Również wylądowały wojska aliantów w Archangelsku na północy. Tak więc planem aliantów jest z dwóch stron naciągnąć na stolicę Rosji Moskwę, obalić rządy Bolszewików i powołać do życia nowy rząd konstytucyjny... — pisał kanadyjski Polski Tygodnik „Czas” 6 sierpnia 1918 r.

oprac. TOMASZ MERTA

Ostatni z „komunistycznej ekipy” minister budownictwa Bogumił Ferensztajn zapowiadał oddawanie do użytku 300 tysięcy mieszkań rocznie. Było to na konferencji prasowej przed 2 mniej więcej laty.

Piorunującym wrażeniu jakie sprawił na zgromadzonych przedstawicielach środków masowego przekazu należy przypisać fakt, że nikt nie dopytał ministra, jakimi to mianowicie posunięciami zamierza osiągnąć takie rezultaty. Nie trzeba było być wielkim znawcą przedmiotu, by wypowiedzieć się za powaźnego bądź co bądź rezerwu z miejsca włożyć między bajki. Zresztą i tak wszystko skończyło się na obietnicach. Niewiele ponad rok później Ferensztajn porządkował już swoje biurko i zapewne śmiał się w kółka z tego kto miał wkrótce zająć jego gabinet.

ZAMIAST ILUSTRACJI

Oto suchy, pozbawiony komentarza obrazek z województwa bielskiego. Tamtejsze przedsiębiorstwa budowlane nie miały w ub. roku cementu, stali, gipsu ni piasku. Nawet drewna, gwoździ i kleju. Nie było z czego budować, chyba że wzorem Eskimosów, z lodu. Budowlani dysponowali sprzętem w większości stuprocentowo wyeksploatowanym. Wojewoda mógł im przydzielić raptem 4 samochody. Robotnicy nie mając czym robić, a więc zarabiać, tłumnie odchodził do innych firm, zatrudnienie spadło blisko o połowę. A jednak oddano do użytku 69 mieszkań, czyli wykonano... 6 procent planu.

KRACH NA CAŁEJ LINII

Powyzszy obrazek jest wyjątkowo czarny, ale o różowe trudno. Znajdą się co najwyżej jaśniejsze odmiany czerni.

W ostatnich latach minionej dekady na rozmaitych naradach, konferencjach, sympozjach, posiedzeniach plenarnych i innych nadsiadówkach organy administracji państwowej wszelkiego szczebla, instancje partyjne, organizacje młodzieżowe, ciała społeczne, związki zawodowe i dosłownie kto żył roztrząsał problemy zaistnienia budownictwa mieszkaniowego. Prasa niemal codziennie donosiła, kto i gdzie obradował. Recepty proponowano różne, ale wszystkie miały jeden wspólny mianownik — nierealność.

Za podstawową barierę ograniczającą budownictwo wielu uznawało brak terenów. Przedstawiając swój program, były minister Ferensztajn zapowiedział przegląd

terenów mogących nadawać się pod budowę. Tej akcji w ogóle nawet na dobre nie rozpoczęto.

Niekiedy tam, gdzie tereny udało się znaleźć i nawet stanęły domy bywało, że istniejąca infrastruktura okazała się niewydolna. Tak jak w Suwałkach, gdzie przez prawie dwa lata nie można było oddać sporego osiedla, ponieważ brakowało dlań prądu, gazu i ogrzewania. Z powodu słabutkiego ogrzewania marną lokatorki nowych osiedli Bydgoszczy, Kielc, Lublina i Szczecina.

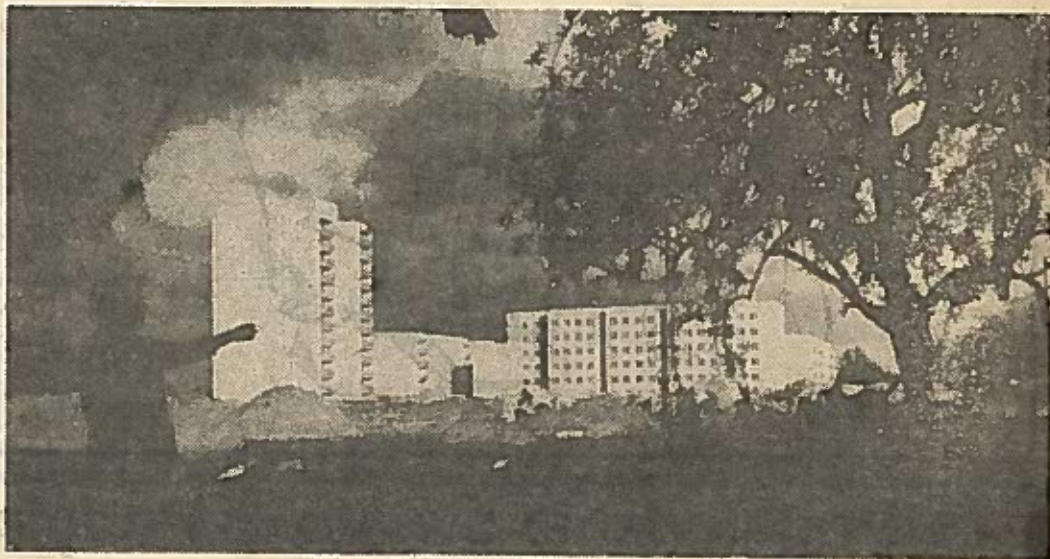
Ograniczonym tematem są kłopoty kadrowe budownictwa. W porównaniu z 1970 rokiem zatrudnienie wzrosło tu o jedną piątą, buduje się zaś (dane 1989) prawie o połowę mniej. W grę wchodzi więc nieudolność organizacyjna, ale nie tylko.

chwytającego brzytwę złapało pomysł, ale domy postawili nieliczni.

Na własny dom, oprócz wysokoprocentowanych kredytów trzeba wyłożyć gotówką grube miliony. Pieniądze to zresztą nie wszystko. Kto, będąc przy zdrowych zmysłach da lokalizację i uzbroi grunt dla osiedla na kilkadziesiąt domków, skoro w tym samym miejscu może powstać osiedle na kilkaset mieszkań. Budownictwo jednorodzinne jest przy tym znacznie bardziej materiałochłonne, niż wielorodzinne. Rezygnacja z tej formy zaspakajania potrzeb mieszkaniowych powinna więc wynikać z prostych prawideł ekonomicznych.

Co innego na wsi. Tam własnoręczne stawianie domów jest i tradycją i koniecznością. Tam dom to część warsztatu pracy, a stawia-

Pod mostami, czy w kanałach?



„Mały, biały domek...”

Fot. MICHAŁ SADOWSKI

Bo choćby materiały. W okresie prosperity wysokowydajne fabryki domów funkcjonowały na pełnych obrotach dzięki importowi surowców. Trudno obecnie liczyć na powrót tamtych czasów. Dziś wykorzystuje się je najwyżej w 60 proc. tylko, dlatego że ich zapotrzebowanie surowcowe zaspakajane jest w 60-70 procentach.

Zyjemy w kraju obfitującym w glinę, ale setki większych i mniejszych cegielni zlikwidowano, gdyż decydenci wybrali wielką płytę. W wersji polskiej wymaga ona dwukrotnie większych ilości energii, stali i cementu, niż jej współczesna światowa odpowiedniczka. Jest dwukrotnie cięższa, więc wymaga specjalnych środków transportu i montażu, za to „nie trzyma ciepła”, przemarza.

Do budowy potrzeba poza tym rur, kabli, blach, armatury i wielu innych elementów. I tu krajowa produkcja leży.

BUDUJ SAM

Takim hasłem raczono jakiś czas temu ludzi z rozpaczającymi szansą na spółdzielcze przydziały. Wielu z desperacją topiecia

ny jest bez pośpiechu i opętającej gonitwy za materiałami — te gromadzi się wcześniej latami. Budujący ma też przeważnie gdzie mieszkać.

Pomijając już wszelkie za i przeciw trudno wymagać od ludzi, by wszystkie potrzeby zaspakajali sobie sami. Proponowanie nauczycielowi, elektronikowi, czy urzędnikowi, by po godzinach normalnej pracy stawał się budowniczym, rujnując zdrowie i pozbawiając się życia rodzinnego jest co najmniej niemądrym pomysłem. To tak, jakby wymusić z braku dostępności rynkowej powszechne własnoręczne szycie ubrań lub butów, czy pieczenie chleba. W samodzielne budowanie dają się najczęściej wpędzić ludzie nie mający innego wyjścia. Jeśli nie mają przy tym grubego szmalu, to należy im tylko współczuć, niekoniecznie zaś brać przykład.

NA CZYM WYŁOŻYŁ SIĘ BYŁY MINISTER?

Ano na tym, że stan budownictwa jest niejako wypadkową całej gospodarki i póki nie

zazegnamy kryzysu, próżno czekać wyraźnej poprawy. Budownictwo jest przy tym działem, rzecz można, interdyscyplinarnym, powiązanym ściśle z niemal wszystkimi innymi działami gospodarki i nie da się wyjść z kryzysowego dołka zaczynając, jak chcieliby niektórzy, właśnie od budownictwa. A że siedzieć z założonymi rękami też nie wypadało,ingo wano rozmaite działania pozorne, do których można zaliczyć w zasadzie wszystkie działania resortowe i spółdzielcze do końca ub. roku.

NA CZYM WYŁOŻY SIĘ PASZYŃSKI?

Tego nie wie nikt. Jest to bowiem człowiek, który od momentu objęcia resortowego stołca praktycznie nic nie zrobił. Jakiż więc błąd można mu wytknąć? Mało tego — o ile jego poprzednicy mieli jakieś mniej, czy bardziej realne programy — ten nie. Z udzielanych przezeń wywiadów prasowych niczego konkretnego dowiedzieć się nie można, zaś realia rynku mieszkaniowego przerażają.

Spółdzielnie mieszkaniowe w szybkim tempie reorganizują się, a dostosowując działalność do praw rynkowych wprowadzają w depresję swych członków. Co ma na przykład zrobić facet — a znam takiego, który w 1976 roku wpłacił pełny wkład na M-3 w wysokości bodaj 30 tys. złotych? To było wtedy pół „malucha”. Teraz czekający już 14 rok człowiek dowiaduje się, że otrzyma mieszkanie chyba jeszcze w tym roku, ale musi szyćkować 10 milionów na uzupełnienie wkładu i liczyć się z czynszem rzędu 800 tysięcy (spłata kredytu). Toć on wkład już dawno wniósł, i gdyby był synem, bratankiem czy choćby pasierbem jakiegos ministerialnego urzędnicy ny dawno już miałby mieszkanie. A tak musi jechać na saksy, bo jak inaczej zdobyć w kilka miesięcy tę fortunę? A jeszcze meble i inne wydatki... To może już lepiej stamtąd nie wracać?

Ale co do Paszyńskiego. Zapowiedział urynkowanie gospodarki mieszkaniowej, a tym samym powszechną dostępność mieszkań jako towaru. Cóż, do takich rewelacyjnych przeobrażeń nie potrzeba wcale ministra, a i cały resort mógłby sobie pójść „na grzybkę”. Wolny choć czarny rynek mieszkaniowy mamy już wszak od dawna. Nie jest żadnym pocieszeniem fakt, że w styczniu rozpoczęto budowę ponad 8000 nowych mieszkań, a więc o 500 więcej niż przed rokiem. Raz, że w zeszłym roku budownictwo sięgnęło dna, dwa, że w minionym styczniu właściwie nie było zimy. Minister dumny jest i z tego, że materiały budowlanych mamy w bród. Tak, bo kosztują przeciętnie o 1500 procent drożej niż przed rokiem, a odstraszaające oprocentowanie kredytów spowodowało odstąpienie wielu amatorów indywidualnego budownictwa od zamiarów stawiania domów. Podobnie mógłby się cieszyć np. dyrektor FSO, bo produkowane przez jego firmę pojazdy, których zawsze było za mało, dziś zawalają place przy Stalingradzkiej, czekając na nabywcę. Tylko że klientów jakoś nie ma, a fabryce grozi plajta.

— Mieszkania będą! — zapewnił minister w którymś z wywiadów. Szkoda, że nie dodał dla kogo. Dla bardzo zamożnych, dopowiedzmy. A gdy ci wszyscy bardzo zamożni wykupią już mieszkania w cenie od 1,5 do 3,5 miliona za metr, co wtedy? Wtedy chyba przestaniemy budować i problem sam się rozwiąże.

Miał swego czasu humorystyczną wpadkę były rzecznicz (niektórzy twierdzą, że nieodszalony) prasowy rządu, któremu wypsnęło się powiedzonko, iż rząd się sam wyżywi, czy jakos tam podobnie. Nie od rzeczy będzie zauważyć, że rząd będzie też zawsze miał gdzie mieszkać, a głód mieszkaniowy nie stanowił dlań, jak uczy dotychczasowa historia, strategicznego zagrożenia. Żaden z dramatycznych przewrotów lat minionych nie miał przyczyny w braku mieszkań. Ale też nikt nie powiedział, że będzie to na zawsze regulą.

WIESŁAW BENDKOWSKI

Rok 1989 był niezmiernie bogaty w wydarzenia w ruchu harcerskim. Stopniowo wrywalismy komunistom młodzież, nad którą pragnęli oni — pomimo politycznej klęski — zachować panowanie. Przez całe dziesięciolecie oficjalny Związek Harcerstwa Polskiego nie poddawał się żadnym reformom i stanowił jedną z nielicznych już w kraju enklaw starego porządku. Partia zawsze przywiązywała ogromną wagę do harcerstwa, uważając je — i słusznie — za najskuteczniejszą metodę wychowania młodzieży. Wszelkie próby buntu niepokornych instruktorów i środowisk były tłumione w zarodku, nie brakowało także usuwania z ZHP, a nawet represji w stosunku do osób szczególnie zasłużonych w „demoralizowaniu” młodzieży w harcerskich mundurkach.

Harcerski przełom

Pierwsza połowa minionego roku przebiegała pod znakiem pluralizmu. Objął on również harcerstwo. Rozwiązano Ruch Harcerski Rzeczypospolitej, a na jego miejsce powstały dwie jawne, choć nie zarejestrowane organizacje harcerskie: Związek Harcerstwa Rzeczypospolitej, który wystąpił o legalizację, oraz reaktywowany w marcu 1989 r. Związek Harcerstwa Polskiego, założony w 1918 roku, a zmuszony metodami administracyjnymi do zaprzestania swej służby w latach stalinowskich. W organizacjach tych znaleźli się zarówno instruktorzy tworzący przez ostatnie lata Ruch Harcerski Rzeczypospolitej (początkowo występujący pod nazwą Ruch Harcerski w kraju), jak i ci, którzy wybrali drogę zakładania niezależnych formalnie od oficjalnego ZHP organizacji harcerskich. Ruch bowiem był całkowicie niezależny w sferze ideowo-programowej, posiadał też własne władze, system szkolenia, wydawnictwa, formy wzajemnych wizytacji, itp., jednakże należący do niego harcerze oraz instruktorzy byli w przeważającej większości członkami reżimowego ZHP, co powodowało u nich — zwłaszcza w zeszłym roku, gdy cały kraj budził się do pluralizmu — liczne wątpliwości natury moralnej. Owo „pasożytowanie” na ZHP i bycie wewnątrzorganizacyjną opozycją, pozwalało jednak na obejmowanie wychowawczym oddziaływaniem sporej grupy drużyn, utożsamiających się z tradycyjnym rozumieniem harcerstwa. Ruch Harcerski Rzeczypospolitej liczył około 25 tysięcy członków, szcze gólnie w dużych miastach i był zdolny do przeprowadzania akcji ogólnopolskich na dużą skalę. Akcje te związane były zawsze z patriotyczno-niepodległościowym nurtem naszego życia społecznego. Bliskie też były kontakty Ruchu z Krajowym Duszpasterstwem Harcerki i Harcerzy, któremu struktury Ruchu wiele zawdzięczały, zwłaszcza w latach rozłaczania przez Kościół polski opiekunów skrzydeł nad wieloma dziedzinami publicznego życia.

Kiedy nadeszły czasy ujawnienia się, powstały dwie koncepcje, obie zrodzone przez kadrę Ruchu. Jedną z nich to konsekwentne uznanie ciągłości autentycznego harcerstwa od jego zarania i ostry sprzeciw wobec używania przez zrodzony z Organizacji Harcerskiej Polski Ludowej (przybudówki zlej pamięci Związku Młodzieży Polskiej) na Zjeździe Łódzkim w grudniu 1986 roku nazwy Związek Harcerstwa Polskiego. Przyznawanie się do tradycji sięgającej Andrzeja Małkowskiego oraz „orląt lwowskich” przez te organizacje jest zabiegiem czysto koniunkturalnym. Jeszcze nie tak dawno uczono harcerzy na podstawie książek Majki i Koźniewskiego, że tak naprawdę ZHP datuje się z tych samych czasów co Polska Ludowa, a wcześniej można

mówić jedynie o postępowych nurtach (czyli Czerwonym Harcerstwie, Wolnym Harcerstwie, Komunistycznym Związku Młodzieży Polskiej „Pionier” — wszystkie działały przed II wojną poza strukturami ZHP) harcerstwa. Tak więc przede wszystkim w środowisku krakowskim uznawano, że trzeba po prostu ogłosić, że ZHP to my, natomiast oficjalny Związek jest uzurpatorem. Należy tu dodać wzmocnienie działań przez lokalne, nieliczne, ale niekiedy dość głośne organizacje niezależnego harcerstwa. ZHP—1918 uznaje za najefektywniejszą formę uzdrowienia harcerstwa, powrót do zasad ideowych, wychowawczych, metodycznych i organizacyjnych przedwojennego ZHP, założonego na zjeździe w Lublinie właśnie w 1918 roku, według ostatniego jego Statutu z 1936 roku.

Po wakacjach zastaliśmy sytuację zupełnie inną, aniżeli kilka tygodni wcześniej. Nie tylko klęska komunistów w czerwcowych wyborach, ale przede wszystkim sformowanie rządu przez dawną opozycję (a ściślej jej część, która zasiadała przy „okrągłym stole”), postawiły dalekowzrocznie myślących instruktorów przed nowymi zadaniami. O ile w dotychczasowej sytuacji pluralizm i rozdrobnienie ruchu harcerskiego mogło stanowić panaceum na monopol oficjalnego ZHP, o tyle teraz zarysowała się szansa odebrania komunistom organizacji, którą utworzyli w 1958 roku pod starą, dobrą nazwą Związku Harcerstwa Polskiego i przemodelowania jej według zasad tego autentycznego, założonego w 1918 roku ZHP. Ta droga, nakreślona już w październiku 1988 roku przez Radę Ruchu Harcerskiego Rzeczypospolitej wydawała się teraz najlogiczniejszą a przy tym najłatwiejszą do zrealizowania przez wciąż zastraszone środowiska małomiasteczkowe i wiejskie. Na harcerstwo trzeba bowiem spojrzeć nie tylko z perspektywy Warszawy, Gdańska, czy Krakowa, gdzie zawsze można było odważnie robić rzeczy dla władzy niepopularne, lecz również z punktu widzenia tej właśnie Polski gminnej, zwłaszcza że tam przynależność do drużyny harcerskiej jest często jedyną dostępną formą aktywności społecznej, podczas gdy w wielkich miastach młodzież ma o wiele większy wybór.

Od razu więc Komitet Odrodzenia ZHP oświadczył, że pragnie skupić swe wysiłki wokół rządu Tadeusza Mazowieckiego i sił z nim związanych oraz rozpocząć rozmowy z ministrami Hallem i Samsonowiczem, a także z Senacką Komisją d/s Młodzieży na temat możliwości przejęcia przez społeczeństwo Związku Harcerstwa Polskiego. Przedstawiono memoriał, zawierający 5 punktów, wedle których należy dokonać tego przedsięwzięcia:

1. przywrócić ZHP sprawdzony model wychowawczy, oparty na zasadach służby Bogu, Polsce i Bliźniemu;
2. wprowadzić funkcje kapelanów oraz podział na harcerki i harcerzy, a także przyciągnąć do pracy rodziców;
3. zlikwidować etatowy aparat instruktor-ski — a więc uczynić ZHP rzeczywistą organizacją społeczną;
4. powołać Społeczną Radę Harcerstwa i jej podporządkować na okres przejściowy obecne, ograniczone w kompetencjach władze ZHP;
5. powołać niezależną Komisję, która zreorganizuje strukturę związku i przygotuje Nadzwyczajny Walny Zjazd ZHP.

Ciąg dalszy na str. 16.

Bardzo ważnym elementem w walce o odrodzenie autentycznego harcerstwa były dwa dokumenty, które ukazały się na przełomie listopada i grudnia, a zaprezentowane zostały na konferencji prasowej w dniu 8 grudnia 1989. W konferencji tej wziął udział autor jednego z nich — najwyższy autorytet moralny polskiego harcerstwa, były Naczelnik Szarych Szeregów hm RP Stanisław Broniewski — „Orsza” oraz przewodniczący ZHP — 1918 hm Kazimierz Wiatr. Druh „Orsza” po wyliczeniu powstałych ostatnio nowych organizacji harcerskich — pisał:

Harcerski przełom

„Wymieniając te organizacje, których odważne działanie przyczyniło się do posunięcia naprzód sprawy, nie wolno zapominać o wielkiej masie młodzieży skupionej w dobrych, a częściej w zmierzających do tego, by być dobrymi, drużynach i szczeplach jedynej do niedawna formalnie działającej harcerskiej organizacji — Związku Harcerstwa Polskiego. Nasza młodzież trwa tam uwikłana powiązaniem materialnymi i szkolnymi, zwabiona tradycyjną formą zewnętrzną. Trwając w tych uwikłaniach, nie może przeżywać pełni wolności i tego, co ta wolność niesie: życia w PRAWDZIE. Dlatego Związek Harcerstwa Polskiego musi być oddany narodowi, by narodowi służył!”

Natomiast Krajowy Duszpasterz Harcerki i Harcerzy, Ksiądz Biskup Kazimierz Górny, w stanowisku Duszpasterstwa w sprawie odrodzenia ZHP napisał między innymi:

„Wobec powstawania rozlicznych ugrupowań harcerskich, zdążających do odnowy, co należy przyjąć jako objaw pozytywny, powstaje także zagrożenie rozbitcia młodzieży; co jest wysoce niekorzystnym objawem w procesie wychowania. (...) Duszpasterstwo Młodzieży Harcerskiej, w trosce o dobro polskiej młodzieży, popiera w pełni inicjatywę instruktorów harcerskich, dążących do przywrócenia społeczeństwu autentycznego Związku Harcerstwa Polskiego. (...) Duszpasterstwo podejmie się mediacji podczas rozmów pomiędzy instruktorami harcerskiej odnowy, a odpowiedzialnymi za wychowanie młodzieży ministrami”.

Wsparcie przyszło także ze strony naszych przyjaciół spoza Polski. W dniach 8—10 grudnia odbyło się w Austrii spotkanie reprezentacji środowisk instruktorskich z Polski, działających w kierunku odrodzenia tradycyjnego Związku Harcerstwa Polskiego w kraju, z przedstawicielami kierownictwa ZHP poza granicami kraju. ZHP-1918 reprezentował hm Kazimierz Wiatr, Naczelnictwo londyńskie — hm Stanisław Berkiet, przewodniczący ZHP na Uchodźstwie. Podczas konferencji u stóp Alp ustalono, że w aktualnej sytuacji w Polsce najważniejszym zadaniem wspólnym dla wszystkich instruktorów jest odbudowanie autentycznego ZHP. W Kraju, wywodzącego swą działalność ze statutu z 1936 roku, wolnego od wpływów komunistycznej nomenklatury.

W ten sposób stworzone zostały warunki do spełnienia postulatów Komitetu Odrodzenia ZHP, tzn. powołania Społecznej Rady Harcerstwa. Stał się nią powołany w dniu 16 grudnia, Krajowy Komitet Odrodzenia ZHP, spełniający de facto rolę takiej Rady. Przewodniczącym komitetu wybrano hm RP Stanisława Broniewskiego — „Orszę”. W składzie 53-osobowego Komitetu znaleźli się zarówno instruktorzy dawnego ZHP, jak i reprezentanci ZHP-1918, ZHP-1956 i ZHR oraz przedstawiciele społeczeństwa i Kościoła, a także wy-

slannik ZHP poza granicami kraju. Nie podziały organizacyjne, lecz wspólna chęć do działania w kierunku przejścia przez społeczeństwo jego własności, jaką jest Związek Harcerstwa Polskiego stała u podstaw powołania Komitetu.

Warto podać kilka nazwisk członków komitetu, aby w pełni ukazał się jego społeczny charakter: ksiądz biskupi Adam Dyczkowski i Kazimierz Górny, senatorowie Zofia Kuratowska, Władysław Findeisen i Andrzej Rozmarynowicz, posłanki Józefa Hennelowa i Olga Krzyżanowska, były Naczelniczki Harcerki przed 1939 rokiem Anna Dydyńska-Paszowska i Zofia Florczak, ks. Zdzisław Pesz-

kowski (Naczelny Kapelan ZHP na Uchodźstwie), płk. Adam Studziński OP, Jan Józef Szczepański.

W 1990 rok weszliśmy więc z optymizmem, choć to dopiero otwarcie drogi, na której pozostało jeszcze wiele do zrobienia. Dużo zależy od postawy instruktorów młodszego po-

Apel

Komitetu Odrodzenia ZHP do harcerki i harcerzy, instruktorów, seniorów harcerstwa i społeczeństwa polskiego:

„Buch harcerski od 80 lat swego istnienia związał się trwale z dziejami narodu polskiego, z jego walką o niepodległość. Jest częścią tradycji i kultury narodowej i dlatego naród ma prawo do upamięnienia się o jego właściwy kształt. W świadomości młodzieży, także harcerskiej, rośnie przekonanie o nieuczestniczeniu w historycznych przemianach zachodzących w Polsce.

W dniu dzisiejszym zebrał się i ukonstytuował Krajowy Komitet Odrodzenia ZHP, złożony z przedstawicieli społeczeństwa, Kościoła i instruktorów harcerskich oraz reprezentanta ZHP poza granicami Kraju, co jest faktem bez precedensu w powojennej historii naszej Ojczyzny.

Odrodzony ZHP powinien:

— przyjąć jako podstawę zasady statutowe z roku 1938, ostatniego Statutu uchwalonego w niepodległej Rzeczypospolitej, w tym w szczególności zawarte w nim Prawo i Przysiężenie Harcerskie i podział na Organizacje Harcerzy, Organizacje Harcerki i Organizacje Przyjaciół Harcerstwa.

— oprócz swojej działalności na autentycznej, społecznej; wierniej zasadom ideowym służbie instruktorskiej.

Krajowy Komitet Odrodzenia ZHP wzywa wszystkich, którym bliskie są także ideały do odrzucenia organizacyjnych i politycznych podziałów i tworzenia Okręgowych Komitetów Odrodzenia ZHP. Wzywa drużyny oraz instruktorów do nawiązania kontaktu z Komitetami Okręgowymi i działania w duchu służby Bogu, Polsce i bliźniemu.”

kolenia, gdyż seniorzy mogą jedynie inicjować pewne działania, ale ich realizacja musi już należeć do młodzieży. Nie bez znaczenia będzie również stosunek do odradzania ZHP przedstawicieli innych organizacji harcerskich, często przyzywających do swej odrębności i ambicjonalnie podchodzących do wszelkich zmian. Teraz okaże się, kto potrafi odrzucić partykularne interesy i wodzowskie zapędy, włączając się w służbę idei, a kto uzna za najważniejsze budowanie własnej tożsamości w wąskim kręgu. Miejmy nadzieję, że tych pierwszych będzie więcej, bo na tym przecież polega między innymi istota harcerstwa.

JERZY BUKOWSKI

Wybory do samorządu terytorialnego będą przyspieszone. Najczęściej wymieniany jest czerwiec. Będą to wybory demokratyczne, a projekt takiej właśnie ordynacji powstał już w komisjach Sejmu i Senatu. W projekcie mówi się wyraźnie o wyborach pięcioprzymiotnikowych, a więc również proporcjonalnych. Balamutne są tedy sugestie prezydenckiego tygodnika „Rada Narodowa”, który minimalizuje znaczenie proporcjonalności i stwierdza, że jest to problem marginesowy. Tak nie jest, gdyż w tych wyborach chodzi o przejęcie lokalnej władzy. To trzeba powiedzieć wyraźnie. Samorząd lokalny, czyli ową władzę, trzeba dopiero utworzyć, bo od pięćdziesięciu lat takiej nie ma. Polacy, jeżdżąc po Europie, nie przypuszczają, że za urodą miast i wsi tudzież za sprawnością tamtejszych urzędów stoi nie rząd, ale samorządna gmina będąca podstawowym organizmem zarządzającym życie obywateli.

U nas trzeba więc naprzód położyć prawne fundamenty pod samorządną Rzeczpospolitą. Mówiono o tym półgębkiem już na I Krajowym Zjeździe „Solidarności”, a później, przy „okrągłym stole” dyplomatycznie nie postawiono kropki nad „i”. Wstępny projekt ustawy o samorządzie przygotowany wspólnie przez komisje obu Izb parlamentu, taką kropkę stawia. Samorząd to odebranie części władzy, jaką dotąd niepodzielnie dzierżyła administracja państwowa i przekazanie tej władzy w ręce obywateli.

Czy solidarnościowy rząd będzie temu przychylny? Pytanie nie jest bezzasadne, gdyż taka przychylność oznacza oddanie stu tysięcy etatów będących dotychczas w gestii Urzędu Rady Ministrów. Ustanowienie pełnomocnikiem rządu d/s samorządu prof. J. Regulskiego poprzedniego przewodniczącego senackiej Komisji Samorządu Terytorialnego, zdaje się dobrze rokować. Z drugiej jednak strony są już pierwsze sygnały sporu o miejsce samorządu w systemie państwa.

Przy omawianiu projektu ustawy przez obie komisje Parlamentu zarysowały się znaczące kontrowersje. Minister Kołodziejcki, zajmujący się w rządzie sprawami administracji, zastrzegając wprawdzie, że nie jest to stanowisko oficjalne, polemizował z tymi rozstrzygnięciami.

Mała

W Polsce, przy minimum wysiłku można w bardzo szybki sposób wytropić paranoje. Wystarczy tylko uważnie wpatrywać się w TV, czytać dokładnie prasę i bacznie obserwować toczące się wokół życie. Już pierwszy rzut oka widać wyraźnie, że istnieją zasadnicze różnice pomiędzy teorią a praktyką i że te właśnie różnice powodują narodziną paranoi. W zasadzie każdy przeciętny Polak jest fachochem w dziedzinie życiowych anomalii, gdyż codziennie pada ich ofiarą.

Paranoje w Polsce dzielą się na: paranoje in plus, paranoje in minus i na paranoje zwykłe. Pomiedzy nimi istnieją zasadnicze różnice wynikające ze skutków, które z nich wynikają. Paranoja in plus — stanowi ten rodzaj paranoi, w którym osobie, na którą to działa wywodzi się, iż korzyści wynikające z jej oddziaływania przyniesie mogą niezłe profity. W rzeczywistości tak nie jest. Posłużmy się więc przykładem.

Ostatnio do moich drzwi zapukał dobry znajomy. Założył on niedawno podstawową komórkę społeczną (tzw. rodzinę) i postanowił skonstruować dla owej instytucji — ognisko domowe.

Sytuacja w budownictwie mieszkaniowym jest jak wiemy skomplikowana. Dobry znajomy rozwiązał ten problem bardzo szybko. Okało się, że budowa domu może nie przedstawić żadnego problemu dla człowieka z głową. Wystarczy tylko wziąć kredyt budowlany, który należy spłacić, lecz to „należy” nie jest obligatoryjne. Kredyt ten jest potrącany z pensji kredytobiorcy w wysokości 10 proc. średniej krajowej. Kredytu tego dobry znajomy nie ma zamiaru wcale spłacić, gdyż jest to pra-

JAK WYGRAĆ WYBORY?

ciamy projektu, które wyraźnie akcentowały służebność administracji wobec samorządu. Oddzielenie samorządu od państwa nie jest rozwiązaniem właściwym — dowodził min. Kołodziejski, co spotkało się z zasadną polemiką prof. Stelmachowskiego. Marszałek Senatu od różnił bowiem precyzyjnie państwo, którego naturalną częścią byłby samorząd, od administracji państwowej — dotychczas z państwem nietrafnie utożsamianej. Ta ostatnia powinna być oczywiście silna i sprawna, ale abu tych cech nie uzyska, jeśli nadal będzie pozuwała się do odpowiedzialności za wszystko.

Sukces eksperymentu budowy Rzeczypospolitej od dołu — a tym w istocie jest powołanie władzy lokalnej — będzie zależał również od pieniędzy, jakimi będą dysponowały miasta i gminy. Licząc bardzo ostrożnie obecny budżet

państwa będzie musiał im zostawić jedną piątą swoich dochodów. Czy tu nie będzie oporów? Samorząd bez pieniędzy będzie natomiast władzą malowaną.

Lokalne sakiewki może napełniać działalność własna samorządu. Mienie komunalne bywa nie tylko źródłem wydatków, ale i przychodów. Nad niezbędnym uwłaszczeniem gmin i miast wisi jednak groźba utrwalenia obecnego, pogierkowskiego podziału terytorialnego. Ze jest on zły, niefunkcyjny, często wręcz absurdalny, przekonywać nie trzeba. Ale nikt odpowiedzialny nie proponuje dziś general-

nych zmian, których koszt byłby liczony w bilionach. Reformę podziału państwa, która znacznie ułatwiłaby powołanie władzy lokalnej, trzeba więc odłożyć na później.

Jak wygrać nadchodzące wybory, a wygrać znaczy rozbić lokalne siły, kliki i zasiedziały od dziesiątków lat układy? Najprościej byłoby reanimować ruch Komitetów Obywatelskich, które po lipcowych decyzjach KKW błąkają się bez wyraźnego celu, bądź przegrywają jedną po drugiej bitwy z lokalnymi nomenklaturami.

Jest chyba tylko jedno wyjście. Zostawić im dziom maksimum swobody i autonomii. Oni naprawdę najlepiej będą wiedzieli co i z kim robić w Rzeczypospolitej lokalnej. Znają się wzajemnie i wiedzą, kto złodziej, pijak czy łapownik. Trzeba dać im wolną rękę i niech decyduje lokalny układ sił. Ani KKW ani OKP nie powinny być zainteresowane polityczną ingerencją w autonomię lokalnych ciał obywatelskich przygotowujących wybory.

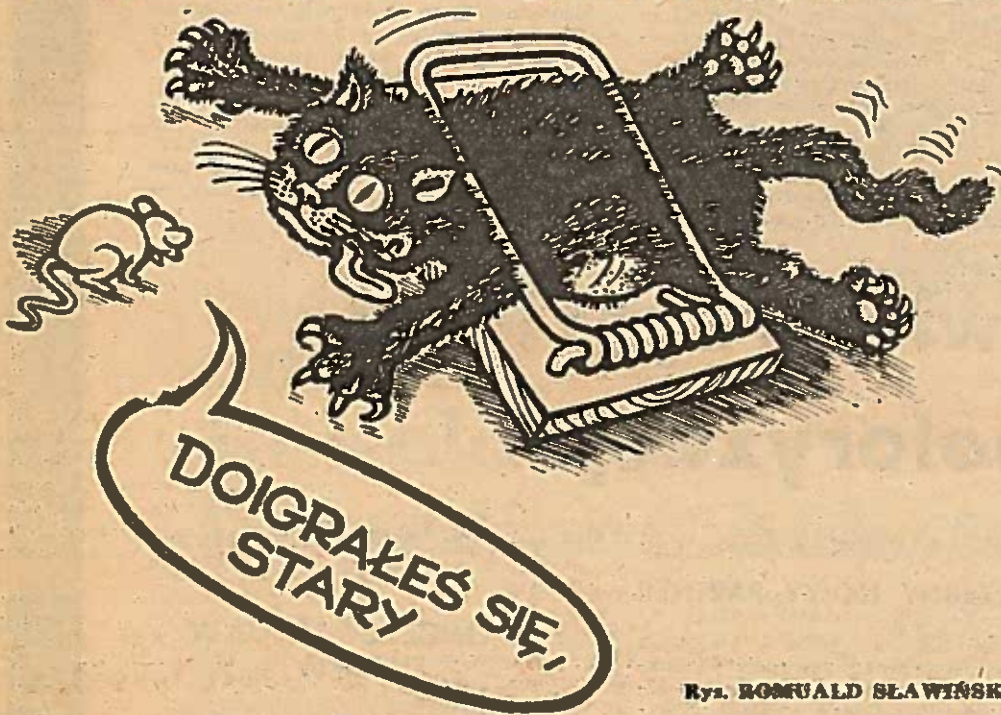
Główną rolą istniejących centrów politycznych będzie znalezienie odpowiedzi na kilka fundamentalnych pytań:

— Jak wygrać wybory mówiąc przy tym obywatelom, że jest lepiej niż będzie w bliższej przyszłości?

— Jak wygrać wybory odbierając obywatelom ich niezbywalne dotąd prawo do oplacanego nieróbstwa?

Gdyby premier Mazowiecki potrafił odpowiedzieć na te pytania, byłby w połowie drogi do sukcesu. Gdyby odpowiedzi na nie znalazł L. Wałęsa, mógłby otrzymać w darze od narodu tuzin wędek i resztę życia spędzić na rybach.

I jeszcze jedno. Wybory samorządowe — to więcej niż pewne — odbędą się w atmosferze coraz głośniejszego konfliktu wieś — miasto. Nie dostrzegać tego, znaczy chować głowę w piasek. To, że wieś jest jeszcze politycznie dość bita, nie powinno nikogo uspokajać.



Rys. ROMUALD SŁAWIŃSKI

JERZY SZCZĘSNY

paranoja

wie niemożliwe ze względu na jego bardzo wysokie oprocentowanie.

Po upływie terminu spłaty, dom mojego dobrego znajomego zostanie zapisany na hipotekę, zaś do samego kredytu naliczane będą coraz to wyższe odsetki. Znajomego ani to ziębi ani grzeje, gdyż mieszka on sobie nadal i spiąca w dalszym ciągu owe 10 proc. Tymczasem do kredytu doliczane są dalsze odsetki i odsetki odsetek. Sytuacja zbliża się do stanu paranoi. Po paru latach wielkość długu stanowi sumę, za którą mój dobry znajomy mógłby kupić na własność średniej wielkości miasto, w którym mieszka. Po kilkunastu latach paranoja osiąga jeszcze wyższy szczybel, gdyż kolejne odsetki od odsetek kredytu powodują to, że wartość tego budynku przewyższa zadłużenie Polski na Zachodzie.

Tego domu co prawda mój dobry znajomy nigdy nie może sprzedać, lecz mogą w nim mieszkać jego dzieci i wnuki, będąc niby to jego właścicielami i spłacając swoje 10 proc. z obowiązującej wtedy średniej krajowej. Sytuacja wnuków jest już o wiele bardziej korzystna, gdyż wielkość długu ciężąca na tym marnym zlepku stali i betonu stanowi kwotę, za którą można by było wykupić z powodzeniem całą Polskę wraz z państwowym i prywatnym majątkiem jej obywateli! W tym momencie przyszły rząd ma tylko dwie drogi wyjścia:

— pierwszą — zastawić na hipotekę u mojego dobrego znajomego cały kraj, aby wykupić jego dom dzięki czemu państwo wychodzi z twarzą z tej sytuacji, a znajomy jako właściciel Polski ogłasza się królem;

— i drugą — władze miejskie (co jest o wiele bardziej prawdopodobne) przysyłają komornika.

Obojętnie jakie by nie zapadło rozwiązanie efekt jest ten sam — paranoja osiąga swój szczyt.

Śmieszne — prawda? Nie bardzo? Nic nie szkodzi. Takie są niestety fakty. Faktem jest również to, że pewien rolnik parę tygodni temu przykuł się łańcuchem do filaru w Sejmie, gdyż na podobnych zasadach przyszło mu płacić za ciągnik. Jeżeli tak dalej pójdzie, parę milionów obywateli przykuje się łańcuchami do gmachu Parlamentu i będzie drażka. Le piej może nie będzie, ale za to będzie śmiesznie.

A teraz trochę z innej beczki. Nie wszystkie poczynania wynikające z tzw. reformy kończą się paranoją in plus — niektóre z nich wieńczy dzieło zwane paranoją in minus. Paranoja in minus — zachodzi wówczas, gdy sytuacja na pozór niekorzystna kończy się niespodziewanie dużymi udogodnieniami.

Weźmy pod lupę problem powszechnie znany i znajdujący swe odzwierciedlenie w wielu dyskusjach — bezrobocie. Wymogi ekonomiczne coraz częściej powodują zwolnienia grupowe pracowników. Niekiedy jednak przedsiębiorstwa stosują inne rozwiązania. I tak np. w rzeszowskich zakładach „Zelmer” miast pozabawiać ludzi pracy wszystkim pracownikom przyznano wolny piątek, dzięki czemu w pozostałe dni pracownik przychodząc do zakładu ma coś jeszcze do roboty.

Nie jest to przypadek odosobniony, gdyż co poniektóre przedsiębiorstwa przymierzają się do wolnych czwartków. Z czasem, jeśli nic się nie zmieni i wszystko dotyczy się tym torem, pracownicy przychodząc będą do pracy w poniedziałki, a od wtorku rozpoczynają już będą

trwający 6 dni weekend. Polska stanie się krajem mlekiem i miodem płynącym, a każdy obywatel będzie miał tyle wolnego czasu, że spokojnie, bez niepotrzebnej biegania będzie mógł załatwić wszystkie swoje sprawy, uzupełnić zaległą lekturę, czy odwiedzić znajomych. Kraj nad Wisłą będzie Mekką dla wielu obywateli świata chcących szybko się wzbogacić, Polska stanie się prawdziwą ziemią obiecaną.

W ten sposób pozorne minusy bezrobocia mogą doprowadzić do paranoicznego stanu powszechnego zadowolenia. Zaistnieje paranoja in minus.

Przedstawione tutaj przykłady pomimo, iż nie są wyjątkowe giną jednak w natłoku zwykłych paranoi. Paranoja zwykła — charakteryzuje się tym, że nie jest ani dobra ani zła — po prostu jest. Z paranoją zwykłą każdy styka się przynajmniej raz dziennie. Przykłady w tej dziedzinie można by mnożyć bez końca. Ot, chociażby takie spotkanie wyborcze do samorządów spółdzielni w gminie Czosnków, gdzie miano wybrać 12 delegatów na zjazd spółdzielców. Z kilkudziesięciu spółdzielców zarejestrowanych w księgach na zebranie przyszło tylko 9. Pozostali, jak się potem okazało — już dawno powymierali. Zapomniano ich po prostu skreślić z listy spółdzielców. „Martwe dusze” ze sztuki Gogoła ożyły pod koniec XX w. Innym razem, w Lublinie umorzono sprawę toczącą się już 3 lata przeciwko osobnikowi notorycznie uchylającemu się od pracy. Po wodem umorzenia był fakt, iż od 12 lat osobnik ów już nie żył. Paranoja zwykła przejawia się pod różnymi postaciami. Czasami jąko jest droższe od kury, czasami kogoś wybiorą na prezydenta wbrew woli narodu, a czasem ujawnia się ona w tym, że ktoś się urodził, bo po prostu nie miał innego wyjścia.

ANDRZEJ T. MAZURKIEWICZ

Do tej pory pozostawaliśmy mistrzami ulepszania coraz bardziej starzejących się konstrukcji samochodowych. Silnik FSO dobiega granic swych możliwości konstrukcyjnych, maszyny w FSO z trudem tłoczą nowe karo serie. Udane próby nowych konstrukcji, np. „Wars” z FSO czy „Beskid” z FSM rozbiły się o bariery ekonomiczną i technologiczną.

W jednym z ubiegłorocznych numerów „Auto—Techniki Motoryzacyjnej”, podano wyniki ankiety na temat optymalnego modelu samochodu dla polskiej rodziny. Nie były zaskakujące. 81 procent respondentów potwierdziło, że samochód zaproponowany w ankiecie z 1984 roku a więc 5-drzwiowy, 5-osobowy, o długości około 3,5 m, z silnikiem 1300 cm sześć., zaspokoiłby ich potrzeby. Pośród modeli samochodów produkowanych na świecie, które czytelnicy chcieliby postawić za wzór do produkcji w Polsce znalazły się: Renault 5, Peugeot 205, Daihatsu Charade, Fiat Uno i wiele innych zachodnich samochodów, które widzi się czasem na polskich drogach.

KONTROWERSYJNA DECYZJA

Taki samochód był w zasięgu naszej ręki. W grudniu 1988 roku zakończono rozmowy z Fiatem, na temat podjęcia w FSO produkcji modelu A-90 — czyli nowoczesnego UNO. Tak się składa, że Fiat rozpoczął już kampanię reklamową dla tego pojazdu i niebawem wejdzie on na rynki Europy Zachodniej. Dziennikarze z angielskiego tygodnika „Auto-car and Motor” ocenili bardzo przychylnie zmiany wprowadzone w samochodzie.

Niestety, powszechnie wiadomo, że w 1988 roku, niedługo po uroczystości urządzonej przez Fiata z okazji zakończenia przeciągających się w nieskończoność rozmów licencyjnych, minister przemysłu, Wilczek, wydał decyzję o rekonstrukcji przemysłu motoryzacyjnego w Polsce. Mielśmy produkować 600 tys. samochodów rocznie w dwóch fabrykach FSM i FSO. Perspektywa wytwarzania tak dużej ilości samochodów była kusząca i bardzo atrakcyjna dla społeczeństwa. Nie trzeba jednak być fachowcem w tej dziedzinie aby

postawić kilka kłopotliwych pytań wszytkim zwolennikom tej decyzji. Do czego poruszanego problemu opon i akumulatorów, których na rynku ani na lekarstwo, osobiście dorzuciłbym sprawę wysokiej ceny katalizatorów emisji spalin, w które to urządzenie musielibyśmy wyposażać nasze samochody, chcąc je eksportować na liczące się rynki europejskie.

Poza tym zostalibyśmy pozbawieni możliwości produkcji nowoczesnych silników diesla o pojemnościach skokowych i mocy, które umożliwiłyby zastosowanie ich np. w samochodach dostawczych. Mały samochód, ze względu na oczekiwania polskiego rynku odnośnie jego ceny, musiałby mieć prostą konstrukcję co, poza szeregiem zalet, powodowałoby ekonomiczną niezasadność stosowania wielu układów, ułatwiających użytkowanie samochodów, polepszających jego osiągi i ekonomię eksploatacji. Bez umiejętności produkcji tych układów wytwarzanie większych pojaz-

się przewyciężyć, zastanówmy się co z eksportem i dochodami fabryki w twarzych walutach? Jak wtedy zorganizować sieć sprzedaży? Jak promować nowy model na rynek? Jest pewne, że potrzebny jest nam nowy partner obecnie nawet licencjonodawca, który przeprowadzi nas przez okres zmian technologicznych i udostępni nam swą sieć sprzedaży.

Poza Fiatem, który ma już praktycznie w kieszeni umowę na produkcję swego samochodu w Polsce, na polu bitwy pozostawali jeszcze Japończycy, a konkretnie Daihatsu, oferująca nam do produkcji Charade. Jednakże problemem dla japońskiej firmy był brak gwarancji kredytowych od japońskiego rządu. Charade to samochód nowoczesny, ekonomiczny (4,2 l/100 km przy 90 km/h, 3,8 l — wersja diesla), produkowany jednak z małym silnikiem 993 cm sześć. (w wielu odmianach). Zachęcające jest to, że Japończycy przyjmują zasadę —

Dwie przyszłości motoryzacji

dów w dalszej przyszłości byłoby trudne.
POTRZEBNY NOWY PARTNER

Przeprowadzona później kontrola NIK-u wykazała, że koncepcja produkcji 600 tys. pojazdów musiałaby pociągnąć za sobą dodatkowe wydatki w wysokości 585 mln dolarów w stosunku do poprzedniego wariantu — produkcji XI/79 w FSM (mały samochód) i A-90 w FSO (unowocześniony UNO). Dołączam się też do 74 procent czytelników biorących udział we wspomnianej uprzednio ankiecie, którzy nie zaaprobowali faktu, że wyborem samochodu do produkcji i ustaleniem warunków licencji zajmuje się minister przemysłu. Samodzielność przedsiębiorstw powinna umożliwiać przeprowadzenie własnego rozrachunku ekonomicznego i handlowego, w tym też dokonanie wyboru partnera.

Do tej pory pozostawaliśmy mistrzami w ulepszaniu coraz bardziej starzejących się konstrukcji samochodów. Nawet gdyby te bariery cudem udało

co cztery lata nowy model (w Europie okres ten jest przynajmniej dwukrotnie dłuższy).

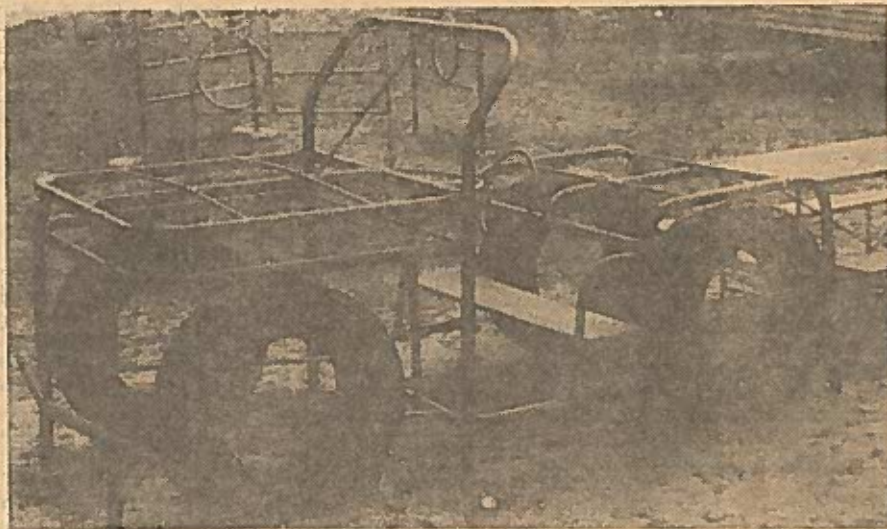
JAPONCZYCY SĄ JUŻ W EUROPIE

Jeżeli poprzez naszą produkcję mielibyśmy wspomagać sprzedaż japońskich samochodów w Europie, mielibyśmy wprowadzić unowocześnienia w pojazdach produkowanych w FSO na równi z Japończykami (i z ich pomocą), a to oznaczałoby stały dopływ nowych rozwiązań i doskonalenie metod wytwarzania. Przeciwnicy japońskiego licencjonodawcy zwracają uwagę na różnicę mentalności między naszymi narodami i dużą lukę organizacyjną. Tyle, że wcale nie my byłibyśmy pierwszymi, którzy podjęli próbną decyzję. Węgrzy niedawno zdecydowali się na produkcję japońskich samochodów Suzuki. Fabryka Nissana działa w Wielkiej Brytanii. Tam też do inwestycji przygotowuje się Toyota.

Niezależnie od sytuacji sami musimy pomyśleć o dalszej przyszłości. Gdzie niedługo bowiem pojawiają się głosy, że będzie to już nasza ostatnia licencja. Potem będziemy wytwarzać własny samochód. Ale czy będzie to możliwe tylko w oparciu o własne siły? Chyba nie.

Zmiana partnera jest przedsięwzięciem kosztownym. Seat został do tego zmuszony poprzez konflikt handlowy z Fiatem. Współpraca z jedną firmą tak w opanowaniu produkcji jej modelu w naszych fabrykach, jak i później w sprzedaży własnej konstrukcji dałaby najwięcej korzyści.

Czas by o tym pomyśleć, bo decyzja o współpracy z Fiatem już właściwie zapadła. Wybrany przez nas samochód — Fiat — Tipo (ewentualnie jego pochodna), to pojazd nawskroś nowoczesny, laureat nagrody „samochód 89”, spełniający życzenia uczestników ankiety „Auto — Techniki Motoryzacyjnej”.



Trzeci przyszłość motoryzacji?

Fot. P. RUDZIŃSKI

JANUSZ CHODYŁA

Trwała pierwsza wojna światowa, fronty się ustabilizowały, nadszedł lipiec 1917 roku, a z nim tak zwany „kryzys przysięgowy”. Wieniawa, jak i zdecydowana większość żołnierzy I i III Brygady Legionów Polskich, odmówił złożenia przysięgi na wierność cesarzom austriackiemu i niemieckiemu. Taka postawa mogła skończyć się tylko represją. Wieniawa został prawie natychmiast aresztowany i jako poddany cesarstwa austriackiego, wcielony do wojska Jego Cesarskiej Wysokości. W mundurze CK Austrii nie pochodził długo. Przy pierwszej okazji — na początku 1918 roku — zdezerterował i zaczął działać jako emisariusz Polskiej Organizacji Wojskowej (POW) na terenie Rosji.

Działalność w POW nie należała do najbezpieczniejszych, radzieckie służby wywiadowcze szczególnie zawzięcie „polowały” na zakonspirowanych, w jakiejkolwiek formie Polaków. Dość szybko Wieniawa został ponownie aresztowany, tym razem przez tajną policję radziecką. Trafił do więzienia, skąd wyszedł — dość szczęśliwie — dzięki osobistemu wstawiennictwu przewodniczącego



Arcypolskie... (3)

Bawidamek, komediant, bohater

WCzK Feliksa Edmundowicz Dzierżyńskiego i z „żelaznym gładem” oraz nakazem natychmiastowego wyjazdu na Zachód. Nawiasem mówiąc, przygoda Wieniawy nie jest jedynym znanym przypadkiem bezpośredniej pomocy udzielonej zabłąkanym w zrewoltowanej Rosji Polakom przez szefa osławionej czerezwyczejki.

ZNOWU W KRAJU

Do kraju powrócił Wieniawa korzystając z pomocy francuskiej misji wojskowej. Józef Piłsudski, już jako Naczelnik Państwa i Naczelny Wódz, przypomina sobie dawnego adiutanta i powołuje Wieniawę ponownie do służby u swego boku. Adiutant generalny Marszałka pozostanie mu wierny do końca.

Długoszowski był ulubieńcem Piłsudskiego, był „feblikiem” Komendanta. Ulan, niczym z piosenki, niezwykle przy stojny, uwielbiany przez kobiety, brat lata, niezawodny towarzysz biesiadnego stołu, kawalarz pierwszej gildii, nie najgorzszy poeta, prozaik, dobry tłumacz literatury i poezji francuskiej. Co mogło łączyć tych dwóch tak od siebie różnych ludzi? Skąd wzięło się przywiązanie Marszałka do — często, gęsto — niesfornego szwoleżera? Czym żywiło się głębokie uczucie Wieniawy do Piłsudskiego?

Stosunek Wieniawy do „Dziadka” można określić kilkoma zaledwie słowami. Słowami, których sam jest autorem „szczerze, swego Komendanta kocha”.

Trochę może dziwić tak uczuciowy ton wyznania żołnierza skierowane pod adresem innego żołnierza, niewiele jednak w tym szczególnie zaskakującego — takie były czasy, tacy ludzie, taka wręcz podniosła atmosfera. Entuzjazm dawno oczekiwanego pola walki („O wojnę ludów prosimy Cię, Panie” — A. Mickiewicz) przerodził się w euforię wyzwolenia. Niektórzy pozostali w tym stanie ducha aż do kolejnego wielkiego, tragicznego wstrząsu — należał do nich właśnie Wieniawa.

A Piłsudski? Jaki naprawdę był jego stosunek do adiutanta generalnego? Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że Wieniawa należał do bardzo szczupłego grona najbardziej zaufanych ludzi Marszałka: „...jest wzorem cnót rycerskich — mówi Piłsudski w obecności generała Leona Berbeckiego — i moje zaufanie dla jego szlachetności i lojalności jest wyższe aniżeli dla kogoś innego z was”. Nie wydaje się by były to zdawkowe komplementy. Piłsudski nie był zresztą do ich rozdzielania wystarczająco skory. Gdy, kilka lat później, opublikował polemikę z Tuchaczewskim na temat przebiegu wojny polsko-rosyjskiej (a właściwie bitwy warszawskiej, tak zwanej „cudu nad Wisłą”), „Rok 1920”, tylko pięciu ludzi z jego otoczenia otrzymało egzemplarz autorski z obszerną dedykacją. Jednym z nich był pułkownik Bolesław Wieniawa-Długoszowski. Poza tym... Poza tym Wieniawa był potrzebny i, w pewnym sensie, trudny do zastąpienia.

NIEZBĘDNY I ZAUFANY

Wraz z wywalczeniem niepodległości zaczęły się niełatwe sprawy polityczne młodego państwa. Do tych, które musiały być rozwiązane najrychlej należało natychmiastowe unormowanie stosunków z działającym ciągle w Paryżu Komiteciem Narodowym Polskim. Nie wolno było dłużej tolerować sytuacji, w której interesy Polski miałyby wobec aliantów reprezentować dwa niezależne przedstawicielstwa.

Bezgraniczne zaufanie do Piłsudskiego, kult Naczelnika, stanowiły po wielopokoleniowej niewoli o niezwykłym przywiązaniu do jego osoby nie tylko najbliższych współpracowników, towarzyszy walki, oficerów i szeregowych legionistów ale także dużych odłamów całego społeczeństwa. Komendant personifikował ideę i jedyną skuteczną drogę do niepodległości. Nie można dziwić się w takiej sytuacji niesłychanemu en-

tuzjzmowi ulicy warszawskiej w momencie przyjazdu Naczelnego Wodza — zdobywcy Kijowa w 1920 roku. By jednak nic nie zakłóciło podniesłego nastroju, by entuzjazm nie tylko ujął w bezpieczne ramy, ale by złożył się na możliwość szerokiego wachlarza „rozmaitych ceremoniałów owacji” (!) — Piłsudski kilka dni wcześniej wysłał do stolicy swego adiutanta generalnego „dla pomocy w ułożeniu” szczegółowego programu powitania. Można być całkowicie pewnym, że misja Wieniawy w niczym nie uszczupiała, a raczej wzmogła euforię warszawskiej ulicy.

Nie obeszło się — naturalnie bez „zgrzytów”; zbyt wiele różnych, często znających się wzajemnie spraw i problemów ogniskowało się w gabinecie adiutanta generalnego, później szefa kancelarii wojskowej Naczelnika Państwa.

Pod koniec 1921 roku generał Niessel, kierownik francuskiej misji wojskowej w Warszawie dość lekkomyślnie i niefortunnie skrytykował armię polską. Uwagi Niessela zirytowały Piłsudskiego, Sosnkowskiego i Wieniawę. Niessel, interpelowany przez Wieniawę, zachował się już całkiem bezmyślnie i denerwując wobec wojskowych, tak ogromnie wrażliwych na honor armii i odzyskanego niepodległego państwa. Zażądał, ni mniej ni więcej, usunięcia ze stanowiska pułkownika Wieniawy-Długoszowskiego! Rozdrażniony do ostateczności Piłsudski, unikając osobistego spotkania z Niessellem, zażądał stanowczo odwołania go z Polski. Szczególnie pikantną historię opisanego zatargowi dyplomatycznemu dodaje fakt, że list Naczelnika Państwa z tym żądaniem adresowany do władz francuskich napisał... właśnie Wieniawa.

Konflikt nieoczekiwanie rozszerzył się: Francuzi w odpowiedzi odwołują moment akredytacji attaché wojskowego ambasady RP majora Józefa Becka. Sytuacja wydaje się być bez wyjścia — rozwiązanie znalazł Wieniawa: w zamian za stanowisko attaché wojskowego RP w Bukareszcie zrezygnował ze stanowiska szefa kancelarii wojskowej Naczelnika Państwa. Generał Niessel został wkrótce odwołany do Francji, a Beck mógł udać się do Paryża, gdzie niebawem spotkał się z publiczną krytyką na łamach czasopisma „L'Ére Nouvelle”.

KRZYSZTOF MAK

Lata osiemdziesiąte to okres wielkich sukcesów kina brytyjskiego. Po czasach świetności lat pięćdziesiątych (seria klasycznych komedii) i sześćdziesiątych (kino „młodych gniewnych”) kinematografia ta nabrała znów światowego znaczenia. Można je mierzyć spektakularnymi nagrodami: (Złota Palma w Cannes dla „Misji” R. Joffé, Oscary dla „Rydwanów ognia” H. Hudsona i „Gandhiego” R. Attenborough) i niezwykle ciekawymi poszukiwaniami artystycznymi. Są one możliwe dzięki istnieniu specjalnych instytucji, takich jak Brytyjski Instytut Filmowy (BFI), który pełni funkcję mecenasa i producenta nowatorskich dzieł. Właśnie poszukującym artystom kina niekomercyjnego został poświęcony niezwykle ciekawy przegląd angielskich filmów, zorganizowany przez warszawską „Akademię Ruchu” i Witka Górke. Pokazano kino w większości w Polsce nie znane, skupiając się na twórczości trzech filmowców: Petera Greenawaya, Terence’a Daviesa i Dereka Jarmana.

PETER GREENAWAY filmowy obsesjonizm i manieryzm

Greenaway ma bardzo wielu zwolenników uwiedzionych inteligentną grą, jaką z nimi prowadzi. Ten malarz, pisarz, ilustrator kafejek, syn domorosłego ornitologa i kolekcjonera map geograficznych pozostaje na stałe wierny kilku swoim obsesjom. Krytycy wyróżnili już ich co najmniej kilka. Porządkowanie filmowego świata odbywa się u niego za pomocą jakiejś reguły, nawet zupełnie przypadkowej np. w „fałszywym dokumencie” z 1980 roku: „The Falls — katalog odłaz”, towarzyszymy 92 wyimaginowanym biografom osób, których nazwiska zaczynają się na „Fall”. Wszystko rozgrywa się po bliżej nieokreślonej katastrofie środowiska naturalnego, za którą odpowiedzialność ponoszą ptaki. One też są stałym elementem jego filmów. W „Spacerku przez H” z 1978 roku, opartym na rysowanych przez Greenawaya mapach wyimaginowanej okolicy, stanowiących o stronie plastycznej filmu, pokazywane w naturze ptaki są motywem dopełniającym „przechadzki” po obrazach-mapach.

Obsesja reprodukcji pojawia się najpełniej w „Kontrakcie rysownika”, najslawniejszym jego filmie, zimnym, wyszukany, malarzskim. Ten kostiumowy, wymakowany thriller, rozgrywający się w Anglii pod koniec XVII wieku, opowiada historię rysownika zawierającego osobliwy kontrakt na wykonanie dwunastu szkiców wiejskiej posiadłości, w zamian za które ma się cieszyć względami pani domu. Greenaway snuje rozważania na temat — artysta a społeczeństwo. Zmierza do wyeksplikowania wniosku mówiącego, że każde podporządkowanie artysty, nawet będące wynikiem jego wyniesienia, wychodzi mu w końcu na niekorzyść. Zbiorowość placąc na początku każdą cenę za uległość, wykorzystuje go, potem odrzuca, bo jego poszukiwanie prawdy może być dla niej zawsze groźne.

Przypominany w trakcie przeglądu film „Brzuch architekta”,

jest jedyny znany szeroko w Polsce, dołącza jeszcze obsesję czasu. Natomiast ostatnie filmy tego reżysera są przykładem niesłuchanego manieryzmu, manieryzmu Greenawaya — filmowca, nie literata, tak jakby obraz filmowy wykreowany przez jego malarską wyobraźnię nie zapewniał mu całkowitej swobody. Świadczy o tym jego ostatni film — „Kucharz, złodziej, jego żona i jej kochanek”, będący swoistą wariacją na temat „Wielkiego zarcia” M. Ferreriego.

Brytyjczycy w „Akademii Ruchu”

TERENCE DAVIES historia osobistych pamięci

Davies przyszedł do kina z teatru, spóźniony zawodowo o kilkanaście lat. Sytuacja materialna wielodzietnej rodziny, w jakiej się wychował, zmusiła go do podjęcia uciążliwej pracy. Dopiero zrealizowanie wg własnego scenariusza średniometrażowego filmu „Dziecko”, zwróciło na niego uwagę środowiska filmowego. Ta czarno-biała, ascetyczna filmowana opowieść o małym odmieńcu, prześladowanym przez otoczenie, stała się początkiem jego późniejszej trylogii. Następne części, „Madonna i dziecko” i „Śmierć i przemienienie”, złożyły się na przejmującą opowieść o życiu i śmierci małego urzędnika prowadzącego podwójne życie, wymykającego się nocami z domu matki do pubów dla homoseksualistów. Jego rozdarcie wewnętrzne potęguje katolicyzm — kolejny stopień wyobcowania — powiększający i tak wielkie poczucie winy. Davies ze skupieniem penetruje zakamarki pamięci bohatera, nawet tej tłumionej przez społeczne konwenanse.

Filmem równie osobistym są jego „Dalekie głosy, spokojne życie” (1988). Tym razem zajmuje się pamięcią zbiorową rodziny Daviesów, pokazywanej na przestrzeni wielu lat. Obrazy przeszłości (nienawiści, miłości, narodzin i śmierci) są organizowane przez muzykę z lat 40-tych i 50-tych. Subtelne zdjęcia, niepowtarzalny klimat albumu ze starymi zdjęciami, oglądanego przez kogoś zaangażowanego uczuciowo w przypomnianie wydarzenia, tworzą obraz filmowy o szczególnym nateżeniu intymizmu. Davies opowiadając o niewidzialnych więzach tworzących rodziną wspólnotę, potwierdza własne słowa: „Gdyby nie istniało cierpienie, nie powstałyby filmy”.

DEREK JARMAN filmowe prowokacje i eksperymenty

Jarman nie traktuje poważnie tego, co zwykle się określał tradycyjnym filmowym rzemiosłem. Woli szukać, drażyć możliwości filmowego obratu, dopełniać go

bogatą ścieżką dźwiękową. Po „Sebastianie”, opowieści o faworycie cesarza Dioklecjana, pełnej drastyczności, skupił się na zupełnie osobistych poszukiwaniach, w obrębie filmowego języka.

Ciekawym osiągnięciem jest krótki film „Wyobrażając sobie Październik”, nakręcony potajemnie w Moskwie, po czym przekopowany na taśmę video i dopiero wtedy na właściwy format taśmy filmowej. Ta metoda twórcza, powtarzana w następnych

filmach, przynosi niesłuchaną celebrację obrazu, zwalnianego, pochodzącego jakby z poklatkowych zdjęć. Zrealizowany w ten sposób film „Sonety Szekspira według D. Jarmana” (The Angelic Conversation) przynosi bardzo potężną ich wizję, naznaczoną osobistą wrażliwością i własnym „charakterem pisma”. Co ciekawe, film ten miał najlepszy odbiór w Japonii, gdzie widzowie oswojeni z teatrem mieli ułatwiony odbiór, w odróżnieniu od ludzi wychowanych tylko na szybkim montażu.

Dwa filmy z pokazywanych w przeglądzie: „Jubileusz” i „The Last of England”, były porachunkami reżysera z angielską tradycją, historią, kulturą i polityką. O wiele bardziej uniwersalny był jego najgłośniejszy film „Caravaggio” z 1986 roku, nie będący konwencjonalną biografią malarza baroku. Jarman stworzył widowisko zainspirowane przez malarzski świat Caravaggia — granego przez Nigela Terry. Posłużył się niezwykle kameralnymi środkami, niewielkimi przestrzeniami wypełnionymi nagimi ścianami, kawałkami draperii i światłem będącym filmowym przetworzeniem rozważań świetlnych Caravaggia (operator Gabriel Beristan). Ponadczasowość opowieści o powiązaniach sztuki, miłości i zbrodni, została podkreślona licznymi anachronizmami — dźwiękami współczesnej ulicy za oknem szesnastowiecznego pałacu, czy kalkulatorem handlarza obrazów. I tym razem Jarman nie chciał schlebować gustom producentów. O tym i o kilku innych sprawach mówił na spotkaniu z widzami w ostatnim dniu swego pobytu w Polsce.

KRZYSZTOF
DUŻYŃSKI

Derek Jarman:

O SOBIE

Przed wszystkim uważam się za malarza. W moim malarstwie posługuję się collage, ale nie było tak zawsze. Teraz używam grubo kładzionej farby, potłuczonego i poruszonego szkła, umieszczam tam jeszcze różne przedmioty, dołączam wiersze. To okoliczności sprawy, że pracuję w filmie. Nie było to nigdy moim marzeniem i gdyby ktoś dzisiaj zdecydował, że już nie nigdy nie zrobię, powiedziałbym — trudno.

O ANGIELSKIEJ PUBLICZNOŚCI

Film „The Last of England” oczywiście nieco niepokoił angielską publiczność. Pani z British Council po projekcji zapytała mnie: „Czy pan jest naprawdę Brytyjczykiem?” Tak naprawdę, to dziełem pracowałem w Indiach jako agent ubezpieczeniowy w przemyśle herbacianym. Moja mama, która była buntowniczką, zajmowała się nieco sztuką, a ojciec był Nowozelandczykiem, który starał się być bardziej angielski niż sami Anglicy. W zeszłym roku pokazywałem jeden z moich filmów w Budapeszcie i jakiś Anglik zerwał się na widowni w czasie projekcji i krzyczał, że film nie ma nic wspólnego z Wielką Brytanią, a ja jestem ślepy.

O PRODUCENTACH

Bardzo trudno dopasować moje filmy do kontekstu kina brytyjskiego, nie tylko z powodu mojego sposobu pracy, ale również dlatego, że kosztują zaledwie cząstkę tego, co wydają inni. Zrobiłem wszystkie moje filmy na budżecie ostatniego filmu Petera Greenawaya. Samo zebranie pieniędzy, to już niełatwa sprawa. W Anglii działa właściwie tylko kilka poważnych firm m.in. Channel 4, National British Screen, British Film Institute. To filmowa mafia. Są między sobą w stałym kontakcie, dzwonią do siebie. Kiedyś nawet zadałem sobie pytanie: ile jestem wart jako osoba? Poszedłem do jednej z firm bez scenariusza. To była interesująca gra. Okazało się że jestem teraz wart 300 tysięcy funtów. Taka jest moja wartość handlowa.

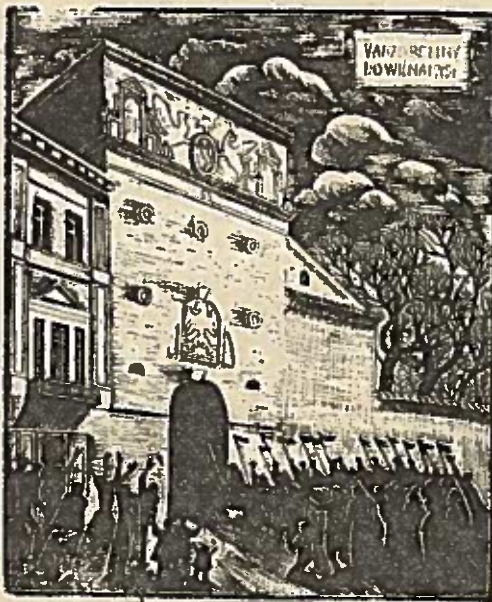
O REKLAMIE

Większość reżyserów filmowych myśli, że Chanel 4 jest instytucją charytatywną, ale tak nie jest. Przy emisji telewizyjnej filmów wkładają tym więcej reklam, im bardziej jesteś znany. Z reżyserów robią je prawie wszyscy. Nawet Ken Loach, mający nieskazitelny styl filmowy, robi reklamy, zaprzeczając jednocześnie związek ze światem komercji. Należę do nielicznych, którzy się nie prostytuują.

Sztuka polskiego Wilna

W okresie II Rzeczypospolitej Wilno było trzecim — po Warszawie i Krakowie — ośrodkiem artystycznym kraju. Wysoką klasą swej sztuki wyprzedzało nawet Lwów, zdominowany raczej przez środowiska naukowe. Decydującą rolę odegrało tu reaktywowanie w r. 1919 (po niespełna stu latach) Wydziału Sztuk Pięknych przy wileńskim Uniwersytecie im. Stefana Batorego. Ale nie tylko to jednak. Rozkwitowi sztuki i życia artystycznego sprzyjał wyjątkowo inspirujący klimat duchowy miasta, żyjącego przeciw tradycją wielkiej literatury polskiej.

Wprawdzie sztuki piękne zajęły najważniejsze miejsce w ówczesnym życiu artystycznym miasta, to jednak bardzo ważną rolę odegrał tu, również teatr. Działał tu przecież m.in.



Rys. K. Wróblewska: Wjazd Białych do Wilna w 1919 r., 1939

słynny teatr oraz Instytut Teatralny „Reduta”. Jeszcze przed odzyskaniem niepodległości ogromną rolę w organizowaniu artystycznego życia Wilna odegrał jeden z najwybitniejszych malarzy polskich, Ferdynand Ruszczyk, który zamieszkał w tym mieście w r. 1908.

Artystyczna „szkoła wileńska” w latach międzywojennych otwarta była na współczesne kierunki artystyczne, z zachowaniem jednak pewnego umiaru i unikaniem skrajności. Przede wszystkim jednak zainteresowania swe szkoła wileńska koncentrowała na postawie klasycyzującej, nawiązującej do tradycji wielkiego malarstwa przeszłości. Nie uciekanie od lirycznie interpretowanego realizmu w połączeniu z wyjątkowym pięknem miasta doprowadziło do wyjątkowego w skali naszego kraju nasycenia sztuki wileńskiej motywami miejscowymi.

Wśród bardzo licznej grupy artystów wileńskich należy wymienić fotografika Jana Bułhaka, rzeźbiarza Antoniego Wiwulskiego (autor pomnika na Górze Trzykrzyńskiej) oraz Pomnika Grunwaldzkiego w Krakowie), malarza Ludomira Slendzińskiego oraz grafików: Jerzego Hoppa i Krystynę Wróblewską.

Niezwykłą okazję poznania dorobku międzywojennej sztuki litewskiej stworzyło w ubiegłym roku Biuro Wystaw Artystycznych w Olsztynie, organizując znakomitą wystawę, poświęconą temu problemowi. Wydany z okazji tej wystawy bogato ilustrowany katalog — to cenna monografia, a zarazem piękna publikacja, jakże bliska sercom Polaków.

WOJCIECH SKRODZKI

Anachroniczny i bradaty Karol Marks, był może utopistą, był może trochę niedoukiem — nie był jednak złodziejem.

Nie można tego, niestety, powiedzieć o jego potomkach, zwłaszcza w Polsce, choć, jak się okazuje, także i w innych krajach: gdziekolwiek się pojawili tzw. marksisci — Czechach, na Węgrzech czy w Rumunii — tam kradli. Obrobili, co zakrawa na cud, nawet Mongolię, gdzie nie było nic, prócz paru kóz. Nawet tym nie przepuścili!

Najgorzej jednak było w Polsce, gdzie potomkowie Marksa stworzyli gang o nazwie PZPR. Partia ta, nakradła ile mogła, czego nie mogła ukraść — zniszczyła, zaciągnęła jeszcze kupę długów i zniknęła. Pozostał problem: kto za to wszystko zapłaci?

Sytuacja wydawała się beznadziejna. Na szczęście znalazł się dzielny towarzysz Kwaśniewski, który wraz z (równie dzielnymi) chłopcami-socjaldemokratami przyznał, że jako niesłubne dzieci PZPR, będą po niej dziedziczyć i regulować. Zaczął wprowadzić od pretensji do dziedziczenia sporej ilości budynków, gazet i lokali razrywkowych, ale od czegoś musiał zacząć. Pretensje zresztą można wyperswadować mu najprościej: PZPR nie miała osobowości prawnej, nie mogła więc w sposób legalny być właścicielką czymkolwiek. Jeśli została nią w sposób nielegalny — to trzeba to od niej odebrać i w tym właśnie powinien pomóc tow. Kwaśniewski.

Co więc należy się Polakom z masy upadłościowego gangu? Z rzeczy najbardziej widocznych, oczywiście, nieruchomości, wszystkie budynki, w tym także gmach byłego KC. Tow. Kwaśniewski zapowiedział wprawdzie, że przerebi go na hotel „Bolszewik”, ale będzie się musiał obejść smakiem. Może założyć biuro kwatery prywatnych „Bolszewik” i rozmieścić je po mieszkaniach członków b. PZPR. Do gmachu KC jednakże nie ma żadnych praw. Może go oddać Uniwersytetowi na bi-

bliotekę albo akademik (choć na akademik polecam raczej hotel b. ANS przy KC), można z niego zrobić bank i centralę informacyjno-biurową — są przynajmniej działające telefony. Można tam zrobić jeszcze tysiąc innych przedsięwzięć, nie można tylko zrobić przedsiębiorstwa przemalowanej partii. To samo dotyczy wszystkich innych budynków. Zresztą: socjaldemokratów jest akurat tylu, że pomieszczą się w jednym pokoju. A na wynajęcie M-1 gdzieś w Pruszkowie powinno ich stać.

Sprawa druga to koszty za straty niewymiernie. Nie wiem, ile należy się Polsce od Kwaśniewskiego i jego dawnych i nowych towarzyszy tytułem rekompensat za oglupianie społeczeństwa przez partię. Ile za demoralizację kilkudziesięciu milionów

życzeń nie budowano kościołów, nie powstała dzięki nim ani jedna prawdziwie społeczna gazeta. Nie my powinniśmy je zwracać.

Pytanie tylko: kto i z czego? Spłacanie tych długów z zysków pochodzących np. ze sprzedaży ukradzionych nam budynków czy wydawnictw byłoby absurdem do kwadratu. Myślę więc, że ten dług komuniści powinni odpracować.

Jako człowiek łagodny nie proponuję im pracy przy Białomorskim Kanale, byłoby to pomysły zbyt komunistyczny. (Nic by zresztą tam nie zrobili, a jeśli — to w rublach transferowych). Również zatrudnienie ich w Polsce nie ma większego sensu. Do rolnictwa się nie nadają, o czym świadczy stan, do którego je doprowadzili, do — przemysłu tym bardziej — przecież nigdy

— i tylko o'a kłótnice — jako zyski pochodzące z zajmowania się nie — rzędem, a partyjnymi interesami, zwłaszcza zaś wyżywką ludności bezpartyjnej — podlegałyby przypadkowi. Bilansem takim należałoby objąć sprawiedliwie nie tylko członków ekipy Jaruzelskiego, ale także poprzednich ekip — Gierka, Gomułki, Bieruta. Coś z tego pozostało może w kraju, a może na zagranicznych kontach, coś z tego przyda się na spłatę długów.

A w ogóle to niby dlaczego my się tym tak martwimy? Czy zachodni kapitaliści nie wiedzieli, że handlują z oszustami i gangsterami? Czy nie wiedzieli, że pożyczają ciężką forszę wariatom, którzy uczyli się ekonomii z „Kapitału” Marksa? Czy nie przeprowadzali badania „stanu zdrowia” i możliwości płatniczych swych dłużni-

Ćwiczenia z wyobraźni politycznej

Kogo sprzedamy za długi?

Polaków przez lat kilkadziesiąt? Ile za lata strachu i upodlenia? Ile tytułem odszkodowań za wywołane przez kompartię choroby psychiczne, nerwice, apatie i w ogóle stressy? Ile tytułem odszkodowań dla rodzin ofiar zamordowanych przez aparatczyków?

Nie wiem. Tę kalkulację muszą zrobić członkowie nowowymalowanej esdectji. Nie zapisują się do nowopowstałej solidarności dzielnic, ale do partii, która przyznaje się do określonej przeszłości. I z tego określenia chce przecież ciągnąć profity!

Fozostaje sprawa trzecia: długi. Fodszysząc się pod reprezentację Polski, PZPR zaciągała je głównie na swoje potrzeby: umacniała swój aparat władzy, realizowała swój program gospodarczy, forsowała swoją politykę, kulturalną, swoją ideologię. Z tych po-

nie pracowali, zawsze żyli z gadań, a nie z pracy. Przydali by się może do roboty na poczcie — cóż, kiedy mają brzydki odruch zagładania do cudzych listów...

Jedyna rada, to wysłać ich do pracy tam, gdzie pozaciągali długi. Niech w RFN budują hutę im. Lenina, a we frywolnej Francji — fabrykę wyrobów gumowych „Stomil”. Jeśli znowu spartolą roboty, to przynajmniej nie będzie to nasz problem.

Wydaje się też, że część forsy da się od nich odzyskać w gotówce. Prócz majątku gangu jako całości komuniści dorobili się także całkiem niezłych majątków prywatnych z tytułu udziału w tymże gangu. Trzeba zatem przeprowadzić bilans. Od tego co różni towarzysze mają dzisiaj należy odjąć to, co mieli wstępując do partii. Ta druga kwota stanowi ich niezależną własność

ków? Jeśli nie, to oznacza tylko, że po prostu ogłupieli z chciwości i że słusznie zostali ukarani.

I wreszcie jako punkt: czy kapitaliści nie wiedzieli, że hasłem wszystkich kompartii i komunistycznych rządów było słynne powiedzenie Lenina: „kapitaliści są tak głupi, że sprzedadzą nam nawet stryzynek, na którym ich powiesimy”.

Sprzedawali ten stryzynek i naszym i nie tylko naszym komunistom, wciskali im go w całości i po kawałku, wciskali za gotówkę, na kredyt stosując nawet klauzulę najwyższego uprzywilejowania. Niech się cieszą, że komuniści spłajtowali, nim zdążyli ich powiesić.

I niech to im wystarczy. Nauka, którą otrzymali, warta była nie takich pieniędzy!

B. URBANKOWSKI



24 III — 30 III

SOBOTA 24.03.

PROGRAM I

- 6.45, 7.15 TTR. Sem. IV — Mech. rol. i Produkcja zwierzęca
- 7.45 Program dnia
- 7.50 Tydzień na działce
- 8.20 Na zdrowie — pr. rekreac.
- 8.40 Ziarno — pr. Red. Katolickiej
- 9.00 Drops — mag. oraz film z serii „Heidi”
- 10.30 Wiadomości poranne
- 10.40 Azjatycka mozaika (8) — „Wiosenne święto Kriszny” — franc. film dok.
- 11.00 Dolata — pr. dok.
- 11.40 Laboratorium
- 12.05 Odwieczne pieśni — rep.
- 12.35 „Zaczyna się od zboża”
- 13.05 TV Teatr Prozy: H. Bóll „Bilans”, reż. J. Kanički
- 14.15 „Życie” — mag. ekologiczny
- 14.40 Prezydenci
- 15.10 Filmy o miłości: „Ich dzień powszedni” — prod. pol., reż. A. Scibor-Rylski

- 16.45 Flesz
- 17.15 Teleexpress
- 17.30 Polska Walcząca 1939—1945
- 18.30 Butik
- 19.00 Dobranoc: „Bajka o bajkach”
- 19.10 Z kamerą wśród zwierząt
- 19.30 Wiadomości
- 20.05 „C. K. Dezertery” (2) — pol.-weg. film fab.
- 21.20 TV przegląd sportowy
- 22.30 Tydzień w polityce
- 22.30 Piosenki San Remo '90 (2)
- 23.15 Telegazeta
- 23.25 Kino sensacji: „Zniknął bez śladu” — film fab. prod. USA
- 1.00 Zakończenie programu

PROGRAM II

- 12.30 Czas akademicki
- 13.00 W świecie ciszy
- 13.25 Studio im. A. Munka
- 14.25 „5-10-15” — pr. dla dzieci i młodzieży
- 15.55 Małe kino: „Uchodźcy afgańscy” — film dok.
- 16.25 Studio Sport
- 16.55 Powitanie
- 17.00 Muzyka rozrywkowa
- 18.00 Program lokalny
- 18.30 Legendy filmu: A. Quinn
- 19.30 Alfa i omega
- 20.00 „Dama pikowa” opera P. Czajkowskiego z TW w Warszawie (2)
- 21.05 Dwa + 2 — drugi obieg w drugim programie
- 21.30 Panorama dnia
- 21.45 „Znowu w Brideshead” (12) — serial ang.
- 22.30 Alfabet Kistela
- 22.45 Komentarz dnia

NIEDZIELA 25.03.

PROGRAM I

- 7.00 Witamy o siódmej
- 7.30 Notowania
- 7.55 Po gospodarstwu — mag.
- 8.10 Tydzień
- 8.55 Program dnia
- 9.00 Teleanek oraz film z serii: „Emil z Löbnebergi” (6) — prod. szwedz.
- 10.35 „Tajemnice rosyjskiej przyrody” (5) — s. kand.-radz.
- 11.00 Telewizyjny koncert życzeń
- 11.45 Teatr młodego widza: A. Małuszka „Ofelia”
- 13.15 Pięprz i wanilia — Z wiatrem przez świat: „Ciemniejszy niż diament”
- 14.00 Sportowa niedziela (MP w bokse — finały)

- 15.35 „Panna’ dziedziczka” — serial brazylijski
- 17.15 Teleexpress
- 17.30 Morze — magazyn
- 17.50 Agromarket
- 18.20 Antena
- 18.40 Powracająca melodyjka
- 19.00 Wieczorynka: „Wiwat, skrzyty!”
- 19.30 Wiadomości
- 20.05 „Północ — Południe” (6) — serial USA
- 21.40 7 dni — Świat
- 22.10 Sportowa niedziela
- 22.50 Wystawa „Żydzi polscy” — film dok.
- 23.40 Jutro w programie

PROGRAM II

- 8.25 Przegląd tyg. — dla niesłyszących
- 9.00 Film dla niesłyszących: „Północ — Południe” (6) — prod. USA
- 10.35 „Twierdzą im był każdy las...” — pr. dok.
- 11.20 Jutro poniedziałek
- 11.50 Powitanie
- 12.00 PKF
- 12.10 „Kane i Abel” (5) — s. USA
- 13.05 100 pytań do...
- 13.45 Maciej Niesiołowski — Z bałtą i z humorem
- 14.00 Kino familijne: „Autostrada do nieba” (4) — serial ang.
- 14.50 Polacy — Witold Lutosławski film dok. prod. ang.
- 15.40 Podróż w czasie i przestrzeni: „Czasy katedr” (5) — franc. serial dok.
- 16.30 Biografie: „Agatha Christie” — ang. film dok.
- 17.30 Bliżej świata
- 19.00 Wydarzenie tygodnia
- 19.30 Galeria 37 milionów
- 20.00 Studio Sport — Piłka w grze
- 21.00 Łazienki Królewskie w Warszawie — Pałac Myśliwski
- 21.30 Panorama dnia
- 21.45 „Kane i Abel” (5) — s. USA
- 22.35 Komentarz dnia
- 23.40 Akademia wiersza

PONIEDZIAŁEK 26.03.

PROGRAM I

- 13.30, 14.00 TTR. Sem. II — Mech. rol. i Produkcja roślinna
- 15.00 Powtórka przed maturą
- 15.30 Pr. dla nauczycieli — Wiedzieć — to zapobiegać (AIDS)
- 16.20 Program dnia — Telegazeta
- 16.25 LUZ — pr. nastolatków
- 17.15 Teleexpress
- 17.30 Gorące linie — pr. public.
- 17.55 Wędrowki dalekie i bliskie: „Kto się boi genetyki” (1) — franc. film dok.
- 18.30 Szkoła mistrzów
- 18.45 „10 minut”
- 19.00 Dobranoc: „Straszdyło — Mia uczydio”
- 19.10 W Sejmie i Senacie
- 19.30 Wiadomości
- 20.05 Teatr Telewizji: Tankred Dorst „Ja, Feuerbach”, reż. T. Lomnicki, reż. tv — Jerzy Gruza
- 21.40 Sport
- 21.50 Kontrapunkt
- 22.20 Wiadomości wieczorne
- 22.40 Język francuski (10)

PROGRAM II

- 16.55 Język angielski (23)
- 17.25 Program dnia
- 17.30 Antena „Dwójki” na najbliższy tydzień
- 17.45 Ojczyzna — polszczyzna
- 18.00 Program lokalny
- 18.45 Film dokumentalny
- 19.00 Życie muzyczne
- 20.00 Auto-Moto-Fan-Klub
- 20.30 „Impertum Kota” — Wspomnienia o Michał Buhakowie — rep.
- 21.00 Mistrzowie współczesnego kina
- 21.30 Panorama dnia
- 21.45 „Heimat” — serial RFN
- 23.10 Komentarz dnia

WTOREK 27.03.

PROGRAM I

- 8.35 Domator: Rady na życzenie
- 8.50 Domowe przedszkole
- 9.15 Wiadomości poranne
- 9.25 „Dolina nadziei” (3) — serial franc.
- 10.20 Domator: Rady na życzenie

- 12.00 Spot. z lit., kl. VII
- 12.50 Spot. z lit., kl. I lic.
- 13.30, 14.00 TTR. Sem. IV — Fizyka i Produkcja roślinna
- 15.00 Powtórka przed maturą
- 15.30 Kim być? — dla maturzystów
- 16.20 Program dnia — Telegazeta
- 16.25 Tik-Tak
- 16.50 Kino Tik-Taka: „Gumisie” — serial anim. USA
- 17.15 Teleexpress
- 17.30 Spojrzenia
- 17.55 Klinika zdrowego człowieka
- 18.15 Business
- 18.45 „10 minut”
- 19.00 Dobranoc: „Moje przyjaciółki myszki”
- 19.10 Plus-minus — pr. public.
- 19.30 Wiadomości
- 20.00 Spotkanie z min. Jackiem Kuroniem
- 20.15 „Dolina nadziei” (3) „Dzień powszedni Lotaryngli” — serial franc.
- 21.15 Sport
- 21.25 Listy o gospodarce
- 22.00 Leksykon polskiej muzyki rozrywkowej „S”
- 22.45 Wiadomości wieczorne
- 23.05 Język rosyjski (23)

PROGRAM II

- 16.55 Język angielski (53)
- 17.25 Program dnia
- 17.30 Klub ludzi z przeszłością
- 18.00 Program lokalny
- 18.45 Modlitwa wieczorna
- 19.05 Publicystyka
- 19.30 Studio Sport
- 20.00 Non stop kolor — mag.
- 21.00 Wywiady Ireny Dziedzic
- 21.30 Panorama dnia
- 21.45 „Mistrz i Małgorzata” (2) „Mistrz” — serial TP
- 23.20 Komentarz dnia

ŚNODA 28.03.

PROGRAM I

- 7.45 Express gospodarczy
- 8.05 Poznaj swój kraj
- 8.35 Domator: Nasza poczta
- 8.50 Domowe przedszkole
- 9.15 Wiadomości poranne
- 9.25 „Historia Kajagymu” — koreański film fab.
- 10.30 Domator
- 12.00 Spotkania z lit., kl. II lic.
- 12.50 Fiz. — Pole elektrostatyczne
- 13.30, 14.00 TTR. Sem. II — Chemia i Historia
- 15.30 NURT
- 16.20 Program dnia — Telegazeta
- 16.25 Dla młodych widzów: Sami o sobie — SOS
- 16.50 Dla dzieci: Trąba
- 17.15 Teleexpress
- 17.30 Sensacje XX wieku
- 17.55 TV Informator wydawniczy
- 18.15 Nad Niemnem, Piną i Prypiecią — W Kosowie
- 18.45 „10 minut”
- 19.00 Dobranoc: „Zaczarowany ołówek”
- 19.10 Program publicystyczny
- 19.30 Wiadomości
- 20.10 Studio Sport
- 22.00 Sprawa dla reportera
- 22.40 Wiadomości wieczorne
- 22.55 Wokół wielkiej sceny — mag.
- 23.50 Język angielski (23)

PROGRAM II

- 16.25 Korepetycje dla maturzystów: Język angielski (19)
- 16.55 Język francuski (19)
- 17.25 Program dnia
- 17.30 Sentymentalna strona serca
- 18.00 Program lokalny
- 18.45 Magazyn „102”
- 19.05 „Marc i Sophie” (5) — „Fiskus” — serial franc.
- 19.30 Zwierzęta wokół nas
- 20.00 Czarno na białym — przegląd PKF
- 20.40 Przegląd muzyki
- 21.00 Ze wszystkich stron
- 21.30 Panorama dnia
- 21.45 Film dokumentalny
- 22.00 „W labiryncie” — serial TE
- 22.30 „997” — kronika krym.
- 23.30 Komentarz dnia
- 23.35 Express gospodarczy

CZWARTEK 29.03.

PROGRAM I

- 8.35 Domator: Nasza poczta
- 8.50 Domowe przedszkole

- 9.15 Wiadomości poranne
- 9.25 „Hannay” (1) — ang. s. sensac.
- 10.15 Domator — Nie dajmy się
- 11.10 Z naszych dziejów — Pod szwedzkim zaborem
- 11.40 MEN — informuje
- 12.50 Spotkania z lit., kl. I lic.
- 13.30, 14.00 TTR. Sem. IV — Mat. i Spotkania z literaturą
- 15.00 Rytmy ciała
- 15.50 Rolniczy film oświatowy
- 16.10 MEN — informuje
- 16.20 Program dnia — Telegazeta
- 16.25 Kwant oraz film z serii „Ordyn”
- 17.15 Teleexpress
- 17.30 Militaria, obronność, nowoczesność
- 17.55 Poza rok 2000 — austral. film dok.
- 18.25 Magazyn katolicki
- 19.00 Dobranoc: „Urwis”
- 19.10 Interpelacje (1)
- 19.30 Wiadomości
- 20.05 „Hannay” (1) — ang. s. sensac.
- 21.00 Interpelacje (2)
- 21.40 Sport
- 21.50 Pegaz
- 22.35 Wiadomości wieczorne
- 22.55 Język angielski (53)

PROGRAM II

- 16.25 Korepetycje dla maturzystów: Język angielski (20)
- 16.55 Język rosyjski (23)
- 17.25 Program dnia
- 17.30 „W labiryncie” — serial TP (powtórzenie)
- 18.00 Program lokalny
- 18.45 Program na życzenie
- 19.30 Zielone kino: „Kwiatostany” — przyrod. film CSRS
- 20.00 Wielki sport
- 21.00 Ekspres reporterów
- 21.30 Panorama dnia
- 21.45 Kino studyjne „Dwójki”: — „Szczęśliwego nowego ‘40 roku” — dramat jugosl.
- 23.45 Komentarz dnia

PIĄTEK 30.03.

PROGRAM I

- 7.45 Express gospodarczy
- 8.35 Domator: Nasza poczta
- 8.50 Domowe przedszkole
- 9.15 Wiadomości poranne
- 9.25 „Nowinki zza płotki” (2) — „Wiosenne uczucia” — s. NRD
- 10.25 Domator: Szkoła dla rodziców
- 11.10 Od Wersalu do Poczdamu
- 12.50 Spotkania z lit., kl. III lic.
- 13.30, 14.00 TTR. Sem. II — Nasze spotkania i Matematyka
- 15.00 W szkole i w domu
- 15.20 NURT — Po co szkole wideo?
- 15.50 Program dnia — Telegazeta
- 15.50 Inter sygnał
- 16.25 Rambit — teleturniej
- 16.50 Okienko Pankracego
- 17.15 Teleexpress
- 17.30 Raport
- 17.50 Skarbiec
- 18.30 Rzeczpospolita samorządna
- 18.50 Weekend w „Jedynce”
- 19.00 Dobranoc: „Kłopotek”
- 19.10 Teraz — tyg. gospodarczy
- 19.30 Wiadomości
- 20.05 Kino muzyczne Kydryńskiego: „Barkleyowie z Broadway'u” — musical USA, reż. Ch. Walters, wyk.: F. Astaire, G. Rogers, O. Levant i in.
- 22.00 Sport
- 22.10 W kinie i na kasecie
- 22.30 Wiadomości wieczorne
- 22.50 Spór o jutro — otwarcie studio

PROGRAM II

- 16.55 Korepetycje dla maturzystów: Język angielski (21)
- 17.25 Program dnia
- 17.30 Wzrockowa lista przebojów
- 18.00 Program lokalny
- 18.45 O czym się mówi
- 19.05 Program rozrywkowy
- 19.30 Dookoła świata — W stanie Minas Gerais
- 20.00 „Piątek” — mag. z Krakowa
- 21.30 Panorama dnia
- 21.45 Program publicystyczny
- 22.00 Non stop kolor: „Diner” — film USA
- 23.50 Komentarz dnia
- 23.55 Express gospodarczy

◆ UWAGA redakcja nie odpowiada za zmiany w programie dokonane w ostatniej chwili przez TVP.

Kto rządzi Polską?

W przeszłości, nawet jeszcze niedawnej, wiadomo było z doskonałą oczywistością, kto rządzi PRL-em. Wiedzano powszechnie, że osobą najważniejszą jest pierwszy sekretarz PZPR. Po częściowo sprawiał to sporo kłopotów w dyplomacji, szczególnie w momentach gdy na Zachodzie mylono hierarchię polskich urzędów i za głowę państwa uznawano Przewodniczącego marionetkowej Rady Państwa. Dopiero w epoce Edwarda Gierka, Ameryka nie przyznała przywódcy partii komunistycznej tytułarne miano „prezidenta”.

W latach osiemdziesiątych gen. Jaruzelski próbował stan ten — choć tylko w sferze nazw — ucwilizować, połączony w swojej osobie urzędu Przewodniczącego i Sekretarza. Jednakże w międzyczasie pojawiły się autorytety niezależne. Wśród nich niezaprzeczalne pierwszeństwo przypada przewodniczącemu „Solidarności” Lechowi Wałęsie. Wokół generała i przewodniczącego skupiła się prawie cała panorama polityczna kraju. Za jednym opowiadały się emerytki, za drugim robotnicy.

Relacja pomiędzy generałem a przewodniczącym zmieniała się. Przewodniczący na czele swej druzyny wygrał wybory, mianował premiera, generał został prezydentem. Sytuacja ta nie stała się jednak przez to ani odrobinę klarowniejsza.



Piotr Wierzbicki w tygodniku „Solidarność” podzielił rządzący obóz na trzy konkurujące ośrodki: „familie” Geremka, „świętą” Mazowieckiego i „dwór” Wałęsy.

Później „Gazeta Wyborcza” i wspomniany Tygodnik zaczęły przeliczywać sobie tabelami popularności przewodniczącego i premiera. W jednym piśmie uczeni socjologowie stwierdzali, że Wałęsę popiera 70 procent Polaków, a Mazowieckiego 30, w drugim inni równie mądrzy uczeni uda-

wali, że to Wałęsa ma poparcie 30 procent społeczeństwa, a Mazowiecki 70.

Ostatni raport Centrum Badań Opinii Społecznej stwierdza natomiast: „Można wyróżnić dwa układy polityczne, w których są postrzegane osobistości życia publicznego. Pierwszy obejmuje osoby skupione wokół T. Mazowieckiego: L. Bałcerowicza, J. Kuroń, A. Steimachowskiego, J. Glempa, L. Wałęsę i M. Niezabitowską, drugi o wyraźnej tendencji rozluźniania się — tworzą: W. Jaruzelski, A. Kwaśniewski, A. Miodowicz i T. Fiszbach. Usytuowanie M. Kozakiewicza i A. Michnika, dość odległe od tych konfiguracji, wskazuje, że są one postrzegani jako elementy swoiste, w pewnym sensie autonomiczne w stosunku do obu układów. Należy także odnotować zmianę pozycji W. Jaruzelskiego, który z centrum przemieścił się bliżej A. Miodowicza i A. Kwaśniewskiego, oddalając się tym samym od rządu. Jego miejsce zajął T. Fiszbach. Zwraca również uwagę oddalenie się L. Wałęsy od „premiera Mazowieckiego”.

Trzy miesiące temu dla wyjaśnienia sytuacji polityczno-personalnej wystarczył mi wymyślony przykład, co by się stało, gdyby Jaruzelski i Wałęsa zarządzali ustąpienia Mazowieckiego. Premier miał nie posłuchać Prezydenta, zaś posłuchać przewodniczącego związku. Pointą było pytanie, kto w takim razie jest faktycznym prezydentem. Dziś ten przykład już nie wystarcza. Kto zatem dziś rządzi nami naprawdę?

KRZYŚTOF KRÓL

(Dokończenie ze str. 1)

marnotrawić czasu, nie wolno nam zaprzepścić szansy, która nie będzie trwała wiecznie, a może się już nigdy nie powtórzyć. Nie wykorzystanie tej szansy, opóźnianie niezbędnych zmian — to nie błąd polityczny, ale zbrodnia.

Jak powinna być wykorzystana ta szansa? Polska racja stanu polega na tym, aby — mówiąc najkrócej, przywrócić Polakom w pełni prawo do samostanowienia, oddać władzę w ręce społeczeństwa i zwrócić niezawisłość Rzeczypospolitej. W przetłumaczeniu na język konkretny, polska racja stanu Anno Domini 1990 wymaga:

I. — Oddania urzędu Prezydenta Rzeczypospolitej człowiekowi, który cieszy się poparciem większej części społeczeństwa. Poparcia takiego nie posiada — i posiadać nie może — Jaruzelski, który wypowiedział wojnę własnemu społeczeństwu, doprowadził do ruiny cały kraj i przysporzył Polakom ogrom cierpienia; nawet jeśli zrozumiał skalę swojej winy i pragnie ją odrobić, na czele Rzeczypospolitej nie może stać człowiek, który przez tyle lat był eksponentem obcych, wrogich nam interesów. Dzisiaj jest tylko jedna osoba, która w odczuciu ogromnej większości społeczeństwa może stanąć na czele Rzeczypospolitej. To oczywiście Lech Wałęsa. Nie wolno czekać do wyborów, choćby miały one odbyć się już za parę miesięcy. Już dzisiaj powinno zebrać się zgromadzenie narodowe, aby dokonać zmiany na urządzie Prezydenta.

II. — Reorganizacji rządu Tadeusza Mazowieckiego w taki sposób, aby odeszli ze wszystkich stanowisk ministerialnych ludzie, związani ze starym systemem, członkowie b. PZPR, a dziś bankrutów politycznych, nie reprezentujący już nikogo. Na ich miejsce powinni przyjść ludzie, cieszący się niewątpliwym autorytetem społecznym. Zmiany powinny objąć nie tylko ministrów zbankrutowanych lub nieudolnych, lecz również szefów równo-

rzędnych instytucji, takich jak Najwyższa Izba Kontroli czy Narodowy Bank Polski. W ślad za zmianami na szczycie, muszą one przesunąć się w dół. Od decydowania o Polsce powinni być odsunięci ci, którzy z Polską walczyli.

III. — Przeprowadzenia negocjacji ze Związkiem Radzieckim w celu eliminacji wszelkich nierówności między naszymi państwami. Wymaga to rewizji licznych umów dwustronnych i wielostronnych, w tym rewizji charakteru

na likwidacji obecnej nierównowagi politycznej — odpowiednio wcześniej przed wyborami. Wszystkie siły polityczne, uczestniczące w wyborach, powinny mieć równe możliwości rzeczywiste — równy dostęp do radia i telewizji, możność wydawania własnych dzienników i czasopism, równe — w stosunku do ilości zgłoszonych kandydatów — środki finansowe. Aby to osiągnąć, należy całą infrastrukturę polityczną, która uprzednio służyła satelickiemu systemowi, oddać do dyspozycji au-

Polska racja stanu

Układu Warszawskiego i RWPG oraz miejsca Polski w obu tych organizacjach; żołnierzy polski nie może podlegać obcym dowódcóm, a armia polska być częścią struktury, kierowanej przez innych. Kluczową, w istocie może najważniejszą kwestią jest ewakuacja wojsk radzieckich z Polski, która powinna być dokonana do końca tego roku.

IV. — Prowadzenia takiej polityki gospodarczej, która nie będzie powodowała konfliktu między społeczeństwem a rządem, lecz wręcz przeciwnie, umocni wzajemne zaufanie i pozwoli wspólnie sprostać trudnym obowiązkom ratowania gospodarki narodowej.

V. — Przeprowadzenia wolnych wyborów do Sejmu i Senatu, tak aby cięła te stały się rzeczywistymi reprezentantami woli narodu, a nie efektem manipulatorskiego układu przy zielonym stoliku. Przeprowadzenie wolnych wyborów wymaga zapewnienia wszystkim równych praw formalnych, co jest możliwe obecnie tylko przy wyborach proporcjonalnych zarówno do Sejmu, jak i do Senatu — oraz równych praw materialnych. To ostatnie polega

na likwidacji obecnej nierównowagi politycznej. Jednym z głównych zadań rządu, powinno być dopomożenie ugrupowaniom politycznym, aby uzyskały formalne i materialne możliwości działania i propagowania swych programów. Tylko wów czas, gdy wszystkie programy i ich rzecznicy będą mieli równą szansę ubiegania się o pozyskanie wyborców, wybory będą rzeczywistie wolne. Powstały w ich wyniku Sejm i Senat powinny uchwalić Konstytucję Rzeczypospolitej oraz dokonać wyboru (albo zarządzić wybory powszechne) Prezydenta Rzeczypospolitej. Bez wolnych wyborów zasada suwerenności narodu nie może zostać zrealizowana, a ustój demokratyczny zaprowadzony.

Te pięć punktów określa współczesną rację stanu Rzeczypospolitej. Dziś mamy szansę, bez istotnego ryzyka, zrealizować je. Jeśli tego nie uczynimy, bezproduktywnie tracimy bezcenny dla nas czas i narażamy się na najstraszliwsze ryzyko: że jutro może być za późno.

LESZEK MOCZULSKI

WASZE OPINIE

w procentach

Cechy socjodemograficzne	Odczucia respondentów							
	często				rzadko			
	większość, ochota, "by wszystko rozwalić"	lekceważenie przez władzę	beznadziejność, samotność	zniechęcenie, znużenie	szczęście, poczucie, że życie jest piękne	duma z osiągnięć	poczucie, że sprawy układają się po myśli	zaskakawienie czymś
Wiek:								
18-24	35	28	28	52	56	77	86	86
25-34	45	35	37	55	71	72	71	82
35-44	45	35	35	55	71	71	71	82
45-54	43	33	35	52	68	76	74	76
55 i więcej lat	35	28	48	61	61	79	74	76
Wykształcenie:								
Podstawowe	48	38	38	61	68	78	75	79
Zasadnicze zawodowe	45	38	31	58	72	78	80	84
Średnie	38	30	32	57	71	72	71	82
Ponadśrednie	41	32	32	60	71	80	79	84
Własna ocena sytuacji materialnej:								
Zła	54	38	44	71	68	82	82	88
Średnia	37	35	34	36	74	74	78	82
Dobra	21	19	14	22	27	36	44	38

Na podstawie raportu Centrum Badania Opinii Społecznej ze stycznia 1990 r.

Fatos Nano — albański ekonomista — powiedział, że jego kraj wkrótce zaprosi do siebie zagranicznych inwestorów. Mogliby oni działać w przemyśle odzieżowym czy obuwiczym. Jednak zaraz potem Nano dodał: „Nie będziemy dzielić się własnością. Musimy pozostać Albańczykami”. Można więc inwestować w Albanię, ale wydaje

„Coca-cola w Tiranie“

się wątpliwe by władze pozwoliły komukolwiek wywieźć zyski. Nano określił również zasady ich podziału: „Cudzoziemcy mogą sprowadzić technologię i wiedzę. My damy siłę roboczą i materiały. Możemy odkupować od nich gotowe wyroby”.

Stenard Andersen, redaktor naczelny pisma „Block” skwitował tę propozycję krótko: „Nie przewidując, by amerykańskie firmy tłumnie ruszyły się do inwestowania w Albanię”. Zauważył również, że w zeszłym roku po raz pierwszy od 25 lat, Albania zgodziła się na wjazd zachodnich dziennikarzy.

Albania jest najbiedniejszym krajem w Europie, jednym z czterech na świecie, do którego nie można zadzwonić z USA. Pozostałe trzy to: Wietnam, Kambodża i Korea Północna.

opr. B. WĘGLARCEK

EPSILON — czyli przyjaciel Moskali

W czasie rozmów przy okrągłym stole „stro na opozycyjno-solidarnościową” zgłaszała sążnienia, z których później, kiedy stworzyła swój rząd, zrezygnowała. Tak było z indeksacją, z Żarnowcem, z wolnymi sobotami dla górników... Żądania te były głęboko uzasadnione. Tak było i z RTV. Zajmijmy się ostatnią sprawą.

Rok temu opozycja perorowała o bezsensie istnienia wielkiej i scentralizowanej instytucji, jaką jest Komitet d/s Radia i Telewizji. Należy oddzielić radio od telewizji i utworzyć niezależne od siebie redakcje dla poszczególnych programów. Co więcej, radio i telewizja, jako własność społeczna, powinny podlegać Sejmowi, a nie rządowi. Co dzisiaj zostało — po nie tak znowu dawno sformułowanych — ideach?

Na czele RTV stanął człowiek, który już na początku powtórzył za swym pryncypałem, że oddzielił grubą kreską przeszłość, że pracownicy będą od teraz rozliczani według swej fachowości i lojalności względem rządu. Jakie są efekty tej polityki? Wystarczy obejrzeć „zreformowane” Wiadomości TV. Komentarze — zamiast analizy wiadomości, dziwne reportaże o tym, jak to w pewnej fabryce zwiększono eksport, nadal, „znikające” niewygodne oświadczenia, czy sprostowania.

Ta dziwna wołta dawnej opozycji ma ciekawe uzasadnienie polityczne. Zostawmy je jednak i zajrzyjmy od kuchni.

Epsilon zyskał sobie szacunek i wdzięczność wielu czytelników swych artykułów o Rosji, zwłaszcza o jej literaturze. Skutecznie łagodził polskie uprzedzenia względem wszystkich go go rosyjskie. Dzięki niemu ludzie, którzy przedtem wzdrygali się wziąć do ręki książkę rosyjskiego autora, ze zdumieniem odkrywali inny, ciekawy i wartościowy świat. Jednak od kiedy został Prezesem, dał się poznać od innej, nieco mniej sympatycznej strony. Zaczęły pojawiać się bulwersujące „przecieki”. Dawnych sympatyków Epsilonu gnębią wątpliwości, czy człowieka, który był przecież „swój”, aż tak odmieniła władza? Może narażają on na trudności nie do pokonania? Czy

jest przekonany o słuszności swej polityki? A może, jak to sugerowano, jest „zbyt dobroduszny”?

Przynajmniej część tych wątpliwości została rozwiana w czasie jednego ze spotkań, jakie Epsilon odbył w Krakowie. Tamtejsze SDP zorganizowało warsztaty dziennikarskie. Główny moderator kursów przedstawił na początku podstawowy cel niezależnego dziennikarstwa: przekazywanie informacji. Nie pouczenie społeczeństwa, nie tworzenie wiadomości, ale właśnie szybkie, rzeczowe, możliwie obiektywne ich przekazywanie.

Na spotkaniu z Epsilonem kandydaci na dziennikarzy mogli się przekonać, gdzie leżą owe granice „możliwie obiektywnego przekazywania wiadomości”.



Wielokrotnie powtarzającym się motywem pytań była prośba o potwierdzenie prawdziwości krążących plotek. Oprócz powszechnie znanych poglądów szefa RTV uczestnicy spotkania poznali te nieco bardziej bulwersujące: tak, to prawda, ja jestem autorem wytycznych dotyczących sposobu przygotowania audycji o 13 Grudnia; tak, to prawda, ja nałożyłem embargo na audycję o Leszku Moczulskim po akcji zajmowania budynków przez KPN; tak, to prawda, ja... Twarze słuchaczy wyrażały coraz większe zdumienie.

Proszono o przedstawienie motywów tego typu decyzji. Prezes nie uchylał się od odpowiedzi. To są moje decyzje czuję się za nie w pełni odpowiedzialny. Mogłbym się zastanawiać dyrektywami z góry, ale nie były one zobowiązujące... To były rzeczywiście moje decyzje... Tego typu wybory muszą być podejmowane, nie mogę od nich uciekać... Staram się zawsze kierować uczciwością i dobrem społecznym... Musimy jednak sobie zdać sprawę z tego, że obecna sytuacja opiera się na pewnym kontrakcie... Polska za ten kontrakt została bardzo wysoko oceniona w świecie... Oczywiście, moralność powinna zawsze stać na pierwszym miejscu, są jednak takie sytuacje... Tutaj jest pewna kalkulacja, co jest lepsze dla państwa... Polska za wytrwanie przy tym kompromisie otrzymała dolary... Podporządkowanie RTV Sejmowi? Proszę państwa, nie przesadzajmy z tą demokracją... Czy państwo sobie wyobrażają co by to było, gdyby zaczęły się debaty sejmowe o tym, co ma być, a co nie być w RTV?!

Wróćmy do wyjściowego pytania. Co dzisiaj zostało po nie tak przecież dawno sformułowanych ideach? — jak widać niewiele. Moloch RTV żyje sobie w najlepsze z góry napływają słuszne, i dla społeczeństwa zbawienne dyrektywy. Co się stało ze „swoim” człowiekiem? Umówienie Rosji nie pozostaje bez śladów: szefostwo RTV przyjął właśnie on, nie był ani pierwszym, ani jedynym kandydatem. Jest w Rosji coś fascynującego, nie przesadzajmy z tą demokracją!

KRYSZYNA KOTEJA

POTWIERDZENIE

KPN OKRĘG KRAKÓW dziękuje Małopolskiemu Wydawnictwu Prasowemu za nieodpłatne udostępnienie offsetu